GUSEN

Stanisław Nogaj



STANISŁAW NOGAJ

GUSEN

PAMIĘTNIK DZIENNIKARZA

Część I.

Katowice—Chorzów 1945

Spis Treści

	Strona
Za co dostałem się do obozu	5
Pierwszy etap: Dachau	10
Z Dachau do Gusen	13
Gusen... Gusen...	18
Gusen w roku 1940	22
Nie żałować... zabijać	26
Na 4-ce	32
Czerwoni	36
Zieloni	38
Różnokolorowi	44
Raportführerzy	49
Postrach Gusen	55
„Wykańczanie"	63

Nakładem: Komitetu b. więźniów obozu koncentracyjnego Gusen
Stanisław Nogaj
KATOWICE, ul. Powstańców 2, m. 2.
Druk' Drukarnia P. P. S. w Chorzowie

R. 50/2637

OD WYDAWNICTWA

Autor pamiętników powrócił do kraju po 5-cioletnim pobycie w obozie koncentracyjnym w Gusen.

Mała nieznana mieścina w Austrii Górnej, 18 km na wschód od Linzu, o parę km oddalona od Mauthausen, dziś cieszy się światową sławą, stając w rzędzie hańbiących naród niemiecki dokumentów historycznych — zbrodni i ohydy XX-go wieku — obok Oświęcimia, Belsen, Majdanka, Dachau, Buchenwaldu, Oranienburga i wielu innych.

Gusen I — obóz koncentracyjny III kategorii — był stacją doświadczalną dla niemieckich naukowych metod masowego tępienia ludzi. Aresztowany komendant obozu, Standartenfuehrer Ziereis zeznał, że wszyscy więźniowie tego obozu skazani byli bezapelacyjnie na śmierć. Władze jego w osobach: Hitlera, Himmlera i Pohla, wydały co do tego zupełnie jasne rozkazy i instrukcje: wszyscy więźniowie mieli ulec wyniszczniu (vernichten), całkowitej zagładzie (ausrotten).

Wynalazczość i dokładność w opracowywaniu metod naukowych na sposób niemiecki i w tym dziale „pracy" znała wspaniałe zastosowanie. W Gusen mordowano więźniów, jak twierdzi jeden z tam przebywających w charakterze więźnia lekarzy, dr. Antoni Gościński, przy pomocy 80 różnych metod.

W tym miejscu kaźni śmierć znalazło około 40.000 więźniów rozmaitej narodowości, w tym ponad 20.000 Polaków.

Autor z zawodu dziennikarz, w najtragiczniejszych nawet warunkach nie zapomniał o swoim fachu, zwłaszcza że miał — z tytułu pełnionych w kancelarii prac — dostęp do tajnych akt kierownictwa obozu, prowadził chronologiczne notatki od pierwszego dnia swego pobytu w obozie, aż do momentu zwolnienia.

„Robotnik Kujawski" w Inowrocławiu i „Głos Wielkopolski" w Poznaniu drukowali część sensacyjnego pamiętnika-reportażu Stanisława Nogaja, zamieszczając poprzednio wzmianki i m. in. pisząc:

Autor pamiętnika, dziennikarz z zawodu, spędził w Gusen 5 lat i po powrocie z tego piekła rzucił na papier swoje wstrząsające przeżycia w sposób żywy, barwny i niesłychanie sugestywny.

Gusen (pamiętnik dziennikarza), to reportarz o tragicznej wymowie, to lektura do głębi przejmująca i pozostawiająca niezatarty ślad w umyśle czytelnika.

Praca autora Stanisława Nogaja, obejmuje około 12 tomików. Względy techniczne nie pozwalają na wydanie pamiętników autora w całości. „Gusen" ma być udostępnione dla szerokich mas, a zwłaszcza tym, którzy mieli swoich ojców, mężów i braci w tym piekle hitlerowskim.

Pamiętnik dziennikarza, ten niezwykle ciekawy dokument martyrologii bezbronnych ludzi w okresie wojny totalnej, oddajemy do rąk czytelnika wierząc, że osądzi tak, jak on na to w pełni zasługuje.

Katowice, w październiku 1945 r.

Za co dostałem się do Gusen

Zakład z kolegą redakcyjnym Z. przegrałem. I słusznie Niepotrzebnie byłem optymistą: w wybuch wojny wogóle nie wierzyłem. A wojna zaskoczyła nas do tego stopnia, że jeszcze po jej wybuchu kłóciliśmy się w redakcji, czy bandycką napaść niemców na Polskę wogóle wojną nazwać można. Nic też dziwnego, że na łamach gazet, które w dniach 1-go i 2-go września 1939 r. wydaliśmy w Katowicach, ani słowem nie wspomnieliśmy o wojnie. Obawialiśmy się po prostu represji ze strony władz polskich, które za sianie paniki i szerzenie defetyzmu groziły zesłaniem do Berezy.

W sobotę, dnia 2-go września, z polecenia redakcji zwróciłem się do władz wojewódzkich, by ostatecznie wyjaśnić sytuację: jest wojna, czy jej nie ma, wolno nam pisać o wojnie czy nie, zaczęła się wojna z Niemcami czy nie. I o dziwo — w gmachu Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach nie zastałem już nikogo. Wszyscy urzędnicy poprostu zwiali.

Tegoż dnia o 3-ciej popołudniu ukazały się ostatnie numery naszych gazet, w których w dalszym ciągu ani słowem nie pisaliśmy o wojnie, nieznacznie tylko napominając o „pewnych nieporozumieniach". Rewelację „wojna" przygotowaliśmy na niedzielę, cała obsada redakcji pracowała intensywnie, by niedzielne numery „Polonii", „Siedmiu Groszy", i „Kuriera Wieczornego" przedstawiały się okazale. Przy tej pracy zastały nas alarmujące wieści: wojska niemieckie zajmują Chorzów, wkraczają do Świętochłowic. Niestety — stwierdzić tej wiadomości już nie możemy, telefony nie działają. Reporterzy nasi wracają z miasta z mocno kwaśnymi minami: policja zwiała, armia wycofała się na Zagłębie Dąbrowskie.

Cóż robić? Wypadało także wiać i nam. Postanowiliśmy redakcję przenieść do Warszawy i tam wydawać nadal śląskie

gazety. Pospiesznie pożegnałem żonę i rodzinę, polecając im nie ruszać się z mieszkania. Nie przyszło mi na myśl, by Niemcy mieli zamiar wojować z kobietami i dziećmi.

Nocą z 2-go na 3-go września ruszyliśmy parą samochodami na Jędrzejów w kierunku Warszawy. Na miejscu w Warszawie zorientowaliśmy się szybko w sytuacji — o wydawaniu jakichkolwiek pism nie mogło być mowy. Wraz z kolegą Z. szukaliśmy jakiegoś zajęcia. Zgłosiliśmy się do wojska, chodziliśmy wielokrotnie do wielu urzędów, zdecydowani byliśmy robić wszystko, byle tylko coś robić, byle na coś się przydać. Moment był poważny, Ojczyzna była w naglącej potrzebie. Lecz cóż — nikt nas nigdzie nie chciał, nie byliśmy potrzebni.

Przeżyliśmy oblężenie Warszawy robiąc obserwacje i notując wypadki, to znów na odmianę gasząc pożary na dachach, zbierając rannych i grzebiąc zabitych.

Po wejściu do Warszawy Niemców roztrząsaliśmy trzy możliwości: uciekać na Rumunię lub Węgry, przejść na wschód do Związku Radzieckiego, lub wracać na Śląsk i tam szukać pracy, możliwości przetrwania i doczekania momentu odzyskania wolności. Zdecydowaliśmy się na ostatnie.

Dotarliśmy tylko do Sosnowca, dalej jechać było niepodobieństwem. Wiedziałem już o represjach, o aresztowaniach i mordowaniu Polaków na Śląsku. Kolega Z. pojechał w okolice Krakowa, ja postanowiłem zostać w Zagłębiu.

Zamieszkałem w Sosnowcu pod nazwiskiem Stefana Zagoły. Schronienie znalazłem u zacnych ludzi na Pogoni. Zabrałem się energicznie do pracy. Ufając swemu doświadczeniu w pracach konspiracyjnych wyobrażałem sobie, że wraz z przyjaciółmi uda mi się stworzyć mocną organizację, która przy pomocy sabotażu i aktów terroru będzie mogła walczyć z Niemcami, lub chociaż przeciwstawić się im w pewnym stopniu. Przyjaciele moi i towarzysze pracy (Orczykowski z Bolesławia, Zmorzycko, Najmoła, Grześ, Korczyk, Przepyszny, brat mój Bernard oraz cały szereg ich znajomych) tworzyli sporą grupę zdecydowanych i świadomych celu ludzi. Obok nas stanęły i do pracy niewiasty (Zmorzyskówna, Pietrowiczowa i inne). Zdobyliśmy parę rewolwerów, planowaliśmy akty sabotażowe oraz napady na urzędy i placówki wojskowe. Zorganizowany przez nas aparat wywiadowczy i informacyjny funkcjonował doskonale. W niedługim czasie znaliśmy dokładnie rozkład placówek wojskowych i policyjnych, ich skład liczbowy i nazwiska. I cóż byliśmy niepoprawnymi optymistami: liczyliśmy na krótkie

trwanie wojny, na celowość i skuteczność naszych poczynań.

Zakres naszej pracy rozszerzyliśmy i na propagandę. Wraz z Marią Z. wydawaliśmy ulotki, instrukcje jak prowadzić prace sabotażowe, gazetkę informacyjną „Polska Odrodzona", oraz ulotki w języku niemieckim, do niemieckich żołnierzy, starając się siać ferment i zamieszanie.

Niestety praca moja nie trwała zbyt długo, dnia 9-go marca 1940 r. zostałem aresztowany przy ul. Żytniej przez Gestapo. Sypnięto mnie złośliwie. Zrobił to jeden z dawnych kolegów redakcyjnych, nazwiskiem B.

Na komendzie Gestapo poinformowano mnie, że poszukują mnie już od pół roku na dawnym terenie i że otrzymano informacje o tym, że ukrywam się w Sosnowcu. W śledztwie obwiniono mnie o należenie do tajnej organizacji, z przebiegu przesłuchania zorientowałem się jednak, że Niemcy nie mają pojęcia o podziemnym ruchu niepodległościowym na terenie Śląska i Zagłębia i że działają raczej na ślepo.

Liczyłem się poważnie z faktem, że godziny moje są policzone. Niepodobna, by Gestapo nie znało mojej przeszłości, działalności przedwojennej, udziału w powstaniach. Nie liczyłem wcale na to, by wspaniałomyślnie zechcieli mi to wszystko darować. Niepokoiła mnie tylko myśl, by w związku z moją sprawą nie posypały się dalsze aresztowania. W zeznaniach osłaniałem rodzinę Zmorzysków i najbliższych, twierdząc, że nic o mnie nie wiedzieli i nie udzielali mi żadnej pomocy. Podczas rewizji w mieszkaniu moich sióstr i żony zabrano mi rękopis pt. „Trzydzieści dni w Warszawie", 280 stronnic maszynopisu. Nic innego nie znaleziono.

Miałem coprawda wyjątkowe szczęście. W śledztwie mnie nie bito. Kiedy Gestapowcy sięgnęli po baty uprzedziłem ich oświadczeniem:

— Możecie mnie bić, czy zabić! Mówiłem prawdę, nic więcej wam powiedzieć nie mogę. Nic więcej się ode mnie nie dowiecie, bo faktycznie nic nie wiem.

Gestapowcy porozumieli się wzrokiem. Jeden z nich odezwał się:

— Mylicie się. Gestapo nikogo nie bije. To tylko polska policja wymusza zeznania przy pomocy starożytnych tortur.

Nic nie odpowiedziałem, ale myślałem swoje. Wygrałem tyle, że mnie nie bili. Dopiero gdy opuszczałem biura Gestapo, jeden z agentów nie wytrzymał i kopnął mnie z całej siły.

Samochodem przewieziono mnie do sosnowieckiego więzienia. Znalazłem się w celi razem ze złodziejami, oszustami i więźniami politycznymi. W tej celi czekałem na śmierć, prosząc współwięźniów, zwłaszcza Bereszkę, o powiadomienie w razie czego, mojej rodziny.

Śmierć jednak nie nadchodziła. Mijały dni i tygodnie, nikt o mnie nie pytał. Jakby zapomnieli. Z każdym dniem rosła nadzieja: może jednak pozostanę przy życiu.

Dowiedziałem się, że rewizja, przeprowadzona w mieszkaniu mojej żony w Katowicach, u siostry w Będzinie i u Zmorzyskowej na Pogoni, nie dała żadnego wyniku. Wprawdzie przytrzymano kilka osób, lecz wszystkich zwolniono. Nikt z mojej winy nie wpadł, nikogo nie aresztowano.

Dnia 12-go kwietnia 1940 wraz z sędzią Stürmem z Sosnowca zostałem przewieziony samochodem więziennym do obozu więźniów przy ul. 1-go Maja, w dawnej fabryce Schöna. Spotkałem tam moc znajomych.

Leżeliśmy pokotem na mokrej słomie, twarzą do ziemi. Bili nas i znęcali się nad nami młodzi milicjanci tzw. „Hilfspolizei". Całą akcją kierowali znani mi bandyci w czarnych mundurach, żołnierze SS. Wieczorem wywołano mnie po nazwisku.

Pośrodku hali fabrycznej stał stół. Siedział przy nim jakiś major Gestapo, przed nim leżały listy imienne więźniów znajdujących się w halach Schöna. Na jednej kartce zauważyłem swoje nazwisko, podkreślone czerwonym ołówkiem. Dookoła stołu stało ze 30-tu różnych dygnitarzy, w czarnych, zielonych i żółtych mundurach i paru cywilów. Oczy wszystkich zwrócone były na mnie.

— Wy jesteście Stanisław Nogaj? — zapytał siedzący za stołem major.

Nim jeszcze zdążyłem odpowiedzieć, otrzymałem bolesny cios w plecy i warknięcie komendanta obozu.

— Gadaj szybciej, ty sobacza gadzino!

— Tak jest, nazywam się Stanisław Nogaj, jestem z zawodu dziennikarzem.

Major zwrócił się do obecnych i wskazał na mnie palcem:

— Tak, to on!

Posypały się na mnie razy. Nie szczędził mi ich opasły komendant obozu, waląc bykowcem po głowie i całym ciele.

Potem pytano mnie, czy to ja napisałem książkę pt. „Bosogarda". Potwierdziłem i dostałem nowe lanie. Krew pociekała z ran na głowie.

— Jak nazywa się ta druga książka, przeciwko Niemcom? pytał dalej złowrogo siedzący za stolikiem gestapowiec.

— „Za drutami i kratami Trzeciej Rzeszy" — wykształsiłem.

Znów bicie i kopanie. Rzucono mnie na ziemię, deptano po mnie. Komendant kopnął mnie kilka razy w głowę.

Nawpół przytomny wstałem i spojrzałem w oczy siedzącemu za stołem majorowi.

— No i jeszcze jedną książkę napisaliście, co? — pytał dalej major jadowicie.

— Owszem, „Buchenwald" — odpowiedziałem.

— Szkoda, że tam nie jedziecie. Przyjęliby was bardzo serdecznie — wtrącił jeden z oficerów śmiejąc się przy tym złośliwie.

W pewnym momencie jeden z Niemców spytał: Dokąd właściwie więźniowie z hal Schöna zostaną przewiezieni. Major odpowiedział coś szeptem, nie dosłyszałem. Po chwili głośniej nadmienił, że nie pozostaniemy tam długo, bo przeniesiemy będziemy do specjalnie zbudowanych w Austrii obozów dla Polaków, gdzie pozostaniemy już do końca wojny.

Kiedy skończyli śledztwo w sprawie mojej działalności publiscystycznej, zainteresowali się z kolei moją działalnością powstańczą.

— Wy przecież byliście jednym z głównych organizatorów powstania w Wielkopolsce — zapytał major.

Starałem się wyjaśnić, że moja rola w powstaniu była skromniejsza, nie pomogło — zostałem zbity do utraty przytomności.

Znęcanie się nade mną miało miejsce w hali, gdzie było przeszło trzystu więźniów. Koledzy liczyli uderzenia, twierdzili, że było ich ponad sto. Nie wiem czy to prawda; już pod koniec bólu nie czułem. Jak przez sen słyszałem tylko pytanie komendanta obozu, postawione majorowi:

— Zastrzelić go?

Tamten skinął przecząco.

— Może się nam jeszcze przydać...

Odprowadzono mnie do łaźni fabrycznej, gdzie pośrodku stała buda z desek, w której pomieścić się mógł jeden człowiek w pozycji stojącej. Hala łaźni zalana była lodowatą wodą, sięgającą prawie do kolan, tam mnie zamknięto. Tak przesiedziałem 16 godzin. Na dworze padał śnieg.

Następnego dnia o godzinie 1-szej wyprowadzono mnie z tej mroźnej kąpieli. Ustawiono nas dużą gromadą w szeregi i pod eskortą odstawiono na dworzec, z kąd pociągiem do Dachau.

Pierwszy etap: Dachau

Po uciążliwej, w przykrych warunkach drodze wylądowaliśmy dnia 14-go kwietnia 1940 r. olbrzymim transportem w Dachau.

Porozdzielano nas na baraki, gdzie blokowymi i „sztubowymi" byli przeważnie niemieccy komuniści. Ci obchodzili się z nami dobrze, raczej przychylnie i życzliwie. Zostałem przydzielony do pracy w biurze. Cały szereg kolegów i przyjaciół też dostał rozmaite funkcje. Warunki bytowania były dość ciężkie — tak nam się przynajmniej wtedy wydawało. Dopiero później — w Gusen zrozumieliśmy, że Dachau pod wielu względami był rajem.

Zaraz w początkach pobytu w Dachau zetknęliśmy się z pierwszymi przejawami nikczemności w naszej własnej gromadzie. Jeden z naszych towarzyszy niewoli zaczął systematycznie pisać raporty do niemieckich władz obozu, donosząc szczegóły z przeszłości, treści rozmów codziennych w zaufanym gronie, fragmenty z przeżyć kolegów itp.

W dość krótkim czasie udało nam się ustalić niezbicie, że szpiegiem i denuncjantem był niejaki Zbrzeźniak z Chorzowa, nauczyciel, członek Związku Oficerów Rezerwy. Przyjechał naszym transportem, siedział wraz z nami na bloku 19-tym.

Mniej więcej po dwóch tygodniach naszego pobytu w Dachau, starszy blokowy, komunista Bachtl, powiedział mi w zaufaniu:

— Macie pośród siebie zdrajcę. Musisz ostrzec wszystkich, by byli ostrożni w rozmowach. Ktoś podsłuchuje rozmowy i codziennie pisze raporty do dowództwa SS-ów, co robicie i mówicie między sobą.

Nie mogłem uwierzyć. Jak to wśród nas, Polaków, może być taki podlec? Przecież to sama inteligencja Śląska! Sami nauczyciele, lekarze, dziennikarze, księża, przemysłowcy, prawnicy i naukowcy. Zastrzegłem się wobec Bachtla co do mych wątpliwości. Z obowiązku jednak ostrzegłem współtowarzyszy niedoli.

Tegoż dnia jeszcze przybiegł do mnie rozgoryczony Bachtl:

— Ten łotr dzisiaj znów kogoś zadenuncjował! Ale już my go zdemaskujemy. SS-blockfuhrer porządny człowiek, pokaże go wam.

Zarządzono zbiórkę całego bloku. Przyszedł SS-Man podoficer, w ręku trzymał jakąś kartkę, głośno zapytał, kto mu doręczył to pismo. Przetłumaczyłem słowa jego na język polski. Lecz nikt się nie zgłosił. Podoficer przebiegł szeregi więźniów, przyglądając się uważnie każdemu, ale sprawcy nie poznał.

Po rozejściu się więźniów SS-Mann kręcił się długo po blokach. Po blisko godzinnym szukaniu zawezwał Zbrzeźniaka. Ponieważ tamten nie znał języka niemieckiego, przywołano mnie jako tłumacza.

Zbrzeźniak zaprzeczył, jakoby on denuncjował kolegów. Wręczył mu kartkę, którą przypadkowo znalazł i nie wiedział, co ona zawiera.

Kląć się słowem polskiego oficera, że z żadną zdradą nie ma nic wspólnego.

W parę dni później dowódca obozu, kpt. Zill, wezwał do siebie cały szereg więźniów, między innymi i mnie.

— Byliście redaktorem „Siedmiu Groszy"? Pisaliście szowinistyczne artykuły przeciwko Niemcom? Wypisywaliście jakieś skandaliczne, zmyślone historie o obozach koncentracyjnych? — pytał sterotypowo kpt. Zill.

— Tak jest, pisałem — przyznałem się do zarzuconych mi „zbrodni", pamiętając o życzliwych wskazówkach więźniów niemieckich komunistów.

Zill pisał doniesienia karne, nie zwracając na mnie uwagi. Kazano mi odejść.

Po mnie wszedł do biura kierownika obozu ksiądz kanonik Szramek z Katowic. Opowiadał nam później, że nieznany zdrajca doniósł treść rozmów, jakie on prowadził z współwięźniami Komendant wie także o praktykach religijnych, jakie odbywały się w gronie najbardzie zaufanych na bloku 19-tym. Między innymi zdrajca wspomniał tekst przepowiedni „Wernyhory", którą ksiądz Szramek znał i w której spełnienie gorąco wierzył. W myśl tej przepowiedni bitwa decydująca o losach obecnej wojny rozegrać się miała na terenach Ukrainy, między dwiema wielkimi rzekami.

Kapitan Zill zainteresował się specjalnie ową przepowiednią, ks. Szramek musiał mu ją dosłownie powtórzyć. Obaj podeszli do mapy wiszącej na ścianie: ks. Szramek musiał wskazać miejsce między Dniestrem a Donem, gdzie rozegrać się miała owa decydująca bitwa.

— Wy jesteście ksiądz i kanonik? I wierzycie w takie bredzie? Pewnie łudzicie się nadzieją, że wojna Niemców ze Związ-

kiem Radzieckim może was oswobodzić i dlatego staracie się o podtrzymaniu ducha wśród Polaków? — pytał Zill kanonika Szramka, który tłumaczył się, że tylko powtarzał to, co sam czytał o tej przepowiedni.

Kapitan Zill spisał doniesienie karne również na Szramka.

Trzecią ofiarą denuncjatora był dyrektor Knoll z Katowic. Jemu zarzucał Zill, że miał opowiadać o możliwości przeciągnięcia się wojny aż do 1980 r.

Knoll nie zaprzeczył. Zaczął dowodzić Niemcowi, że o ile uda się Rzeszy zająć Kanał Suezki, będą wówczas panami świata. Wówczas Anglicy bronić się będą tylko na swoich wyspach. Wątpił natomiast, by Anglicy kiedykolwiek się poddali, Porozumienie mogłoby nastąpić po jakichś 40 latach, gdy wymrze już ta generacja ludzi, która spowodowała wojnę.

I na Knolla spisano doniesienie karne.

Następną ofiarą nieznanego nam jeszcze szpiega był inżynier Różycki z Katowic. Temu znów zarzucano, że stale politykował i rozszerzał wiadomości o porażkach wojsk niemieckich na froncie zachodnim.

Nauczycielowi Euzebiuszowi Siegowi z Szopienic i restauratorowi Grzegorzycy z Chorzowa zarzucano, że przechowują sztandar polski. Sieg i Grzegorzyca zrobili to rzeczywiście i ukryli w piecu na bloku 19-tym w izbie 4-tej. Ów sztandar polski znalazł później blokowy Bachtl. Oczywiście zniszczono go po cichu. W razie, gdyby znaleźli go SS-mani, mieliby się z pyszna wszyscy Polacy w obozie. Sieg i Grzegorzyca nawet bici, do posiadania sztandaru nie przyznali się.

Tak się jakoś tłumaczyli, że Zill na nich doniesienia nie zrobił, uwierzył bowiem, że ów sztandar pozostał gdzieś w Chorzowie.

Na cały szereg innych więźniów spisano także protokuły karne.

Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości: był wśród nas zdrajca, szpicel, który każde zasłyszane słowo notował i przekazywał władzom obozu. Ogarnęło nas wszystkich ogromne przygnębienie. Nie znajdowaliśmy najmniejszych argumentów dla uzasadnienia tej ohydy, ani przymus, ani cierpienia fizyczne, ani możliwości poprawienia sobie warunków. Tak sobie dobrowolnie, dla sportu... Na co ten człowiek liczył?

Pierwsi sprawiedliwość wymierzyli mu sami Niemcy. Komendant obozu wyznaczył mu sam nagrodę, na jaką w pierwszym rzędzie ten nikczemnik zasłużył. Uprzedził blokowych, że zdrajcę publicznie zdemaskuje. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła obóz. Podczas zbiórki na placu apelowym wywołał Zbrzeźniaka po nazwisku, kazał mu się zbliżyć i przed frontem olbrzymich kolumn więźniów z odpowiednim gestem zaprezentował go wszystkim:

— To ten!

Odwrócił się i splunął z pogardą.

Rozeszliśmy się w ponurym milczeniu.

Następnego dnia blokowy Bachtl pocieszał mnie w rozmo-
— Już wy się nie martwcie. My go tu wkrótce „zrobimy". Jeszcze żaden zdrajca i szpicel żywy z obozu nie wyszedł.

Cóż, mała to pociecha. Gorycz i żal pozostała na długo.

Zbrzeźniak rodem z Jasła odzyskał wolność, powrócił do kraju i zajmował znów stanowisko wychowawcy dzieci polskich w jednej ze szkół w Chorzowie.

Z ofiar jego podłej denuncjacji zginęli męczeńską śmiercią w Gusen: więzień nr. 3697 Albert Grzegorzyca, który zginął 29 listopada 1941 r. i Euzebiusz Sieg, nauczyciel z Szopienic, którego zamordowano 21. 9. 1940 r.

Różycki i Knoll uniknęli śmierci, bo z Gusen zostali wcześniej zwolnieni do Katowic.

Ks. kanonik Szramek zginął w obozie koncentracyjnym Dachau.

Z Dachau do Gusen

W połowie maja 1940 roku, w obozie Dachau zaczęły krążyć wieści, że Polacy zostaną wywiezieni do obozu w Mauthausen.

— To byłoby najgorsze, coby was mogło spotkać — mówili nam niemieccy więźniowie, którzy współczuli naszej niedoli.

Opowiadali nam, że we wrześniu 1939 roku z obozu Dachau wysłano do Mauthausen 3.000 więźniów. W lutym 1940 mieli powrócić. Wróciło tylko 1.200 reszta zginęła: z głodu, zimna, chorób lub w okrutny sposób wymordowana. W niecałe pięć miesięcy 1.800 ludzi!

— Tam rządzą „zieloni" i „brunatni". — przestrzegali nas czerwoni przyjaciele z Dachau, określając tak pełniących fun-

kcje blokowych przodowników pracy i izbowych w Mauthausen.

„Zieloni", jak nas informowano, rekrutują się z zawodowych złodziei, bandytów i zbrodniarzy.

W kilka dni później rozpoczęły się prace kancelaryjne przy zestawianiu transportu, który miał liczyć około 1000 więźniów. W obozie pozostać mieli z Polaków tylko ślusarze, murarze i inni fachowcy. Resztę przeznaczono na wyjazd.

Do pisania list transportowych wyznaczono także i mnie. Wród Polaków zapanowała radość na wieść o zmianie miejsca pobytu. Ludzie żyli nadzieją, że to i tak długo nie potrwa, a kto wie, może z nowego obozu będziemy wnet zwolnieni.

Gdy listy były już gotowe, przyszedł do nas obozny i zapytał:

— Was oczywiście na tych listach nie ma?

Spojżeliśmy nań zdziwieni.

A dlaczego nie? Wszyscy chcemy wyjechać. My, Polacy, wolimy być w gromadzie.

— Czyście wy poszaleli? Czyż nie mówiliśmy wam, co czeka was w Mauthausen? Mauthausen to nie Dachau! Tam zginie więcej niż połowa waszych ludzi — ostrzegał nas poważnie obozny.

Czułem, że obozny, życzliwie dla nas usposobiony, chciałby uchronić nas przed nieszczęściem. Starszy obozu dawał nam szanse pozostania w Dachau: zniszczył napisane przez nas listy i polecił napisać nowe, bez naszych nazwisk.

Listy transportowe pisaliśmy na bloku 19-tym. Po wyjściu obozného moi towarzysze, Cofała i Martynowski, zlekceważyli jego słowa. Patrzyli bardzo optymistycznie w przyszłość, przekonani, że odzyskają wkrótce wolność.

— To tylko 3-miesięczne przeszkolenie, potem muszą nas zwolnić — dowodzili jeden i drugi, sądząc, że z Mauthausen zostaną łatwiej zwolnieni jak z Dachau.

Ja osobiście czując, że przed ukończeniem wojny zwolniony nie będę, nie podzielałem optymizmu współtowarzyszy. W Dachau było mi znośnie: pracowałem w biurze, a w każdej chwili mogłem objąć stanowisko pisarza blokowego albo kantyniarza.

Wolałem raczej pozostać. Moi towarzysze mieli się też nie najgorzej. Łudziła ich jednak nadzieja łatwiejszego odzyskania wolności. Nalegali, bym jechał z nimi.

Prosiłem o radę starszego blokowego Bachtla i starszego izby Ehlersa, komunistów, którzy w obozie koncentracyjnym przebywali już od 1934 roku, co mam robić. Odpowiedzieli mi na to:

Jesteśmy przekonani, że ty sobie dasz radę i w Mauthausen. Jakoś się tam wkręcisz. Znajdziesz napewno i tam przyjaciół, którzy ci zginąć nie pozwolą. Trudno jest komuś radzić. Tyle, że w Dachau jesteś pewny życia. Dla ciebie osobiście tu napewno jest lepiej. Z drugiej jednak strony ty, jako dziennikarz i publicysta powinieneś może jechać ze swoimi rodakami. Zobaczysz własnymi oczyma mordowanie twoich towarzyszy. Może kogoś podtrzymasz, komuś pomożesz... A kiedyś potem opiszesz co się w obozach koncentracyjnych działo i dzieje. My sami, obserwując tu różne makabryczne sceny nie możemy wprost uwierzyć, że miały one faktycznie miejsce. Wszystko brzmi tak fantastycznie, tak nieprawdziwie, że poważnie się obawiam, iż na wolności nie znajdziemy człowieka, któryby uwierzył naszym opowiadaniom.

Słowa te przesądziły kwestię mojego wyjazdu z towarzyszami niedoli. Przy nowym pisaniu listy transportowej jedynie profesor Babski skorzystał z oferty obozného i jego nazwisko opuściliśmy.

Minęło kilka dni. Dowiedzieliśmy się już zdecydowanie, że wyjeżdżamy do Gusen.

— To zupełnie nowy obóz — opowiadał nam izbowy Ehlers. —zaczęliśmy budowę ubiegłej zimy. Leży w dolinie około 3 km od Mauthausen. Mauthausen zaś jest położone wysoko na szczycie góry.

Dnia 25 maja 1940 roku obudzono nas wcześniej niż zwykle i zaprowadzono przed magazyn. Kto miał lepsze ubranie lub buty, zamieniono na gorsze. Zamiast butów skórzanych dano nam pantofle drewniane (drewniaki).

W ten sposób intendant obozu w Dachau czynił oszczędności na wydanych rzeczach. Rachunek obozu w Gusen obciążony został odpowiednimi i cyframi ilościowymi wydanych koszul, kalesonów, czapek, spodni, marynarek, skarpetek i butów, wzgl. pantofli, nikt zaś nie stwierdzał, w jakim stanie wymienione rzeczy się znajdowały. Taki był już zwyczaj, że jeden obóz starał się oszukać drugi.

Żegnaliśmy się z towarzyszami, pozostającymi w Dachau. Obozny pocieszał mnie:

— Być może, że nasze obawy są bezpodstawne. Może wobec was, Polaków, będą mieli jakieś względy. Obecnie Dachau to

raj. Kiedyś to było straszliwe piekło! Jedziecie do zupełnie nowego obozu. Za wami przyjadą wasi towarzysze. Prawdopodobnie stworzycie własny zarząd obozowy i nikt obcy nie będzie się do was wtrącał. Początkowo miało tam iść z Dachau 50-ciu Niemców, starszych więźniów, którzy mieli objąć stanowiska przodowników pracy, blokowych i izbowych. Plan ten upadł, co oczywiście jest dla was korzystne. W Gusen pracować będziecie w kamieniołomach i przy regulacji Dunaju. No, jakoś tam będzie, życzę wam powodzenia.

Owiani jak najlepszymi nadziejami, wyruszyliśmy w drogę, tj. na dworzec. Przyglądałem się ludności, którą dość licznie spotykaliśmy na drodze naszego pochodu. Wszyscy patrzyli na nas z wyraźnym współczuciem.

Przygotowano dla nas pociąg z wagonów towarowych, w których ustawione były prowizoryczne ławki. Po zajęciu przez nas stosunkowo wygodnych miejsc do każdego wagonu weszło po 3—4 SS-manów.

Zachowanie się żołnierzy SS w wagonach było różne. Jedni traktowali nas po ludzku, inni znęcali się, bijąc więźniów bez przyczyny. W moim wagonie zachowali się stosunkowo poprawnie, rozmawiali z nami, nawet pocieszali, mówiąc o szybkim zakończeniu wojny i powrocie wszystkich do domu. Byli jednak do nas uprzedzeni: stawiali zarzuty, że mordowaliśmy i gnębiliśmy Niemców, zamieszkałych w Polsce. Szczególnie wypominali nam, jak to w Bydgoszczy dnia 3 września urządziliśmy krwawą niedzielę, w której zginęły tysiące cywilnych Niemców. Darmo starałem się im tłumaczyć, że takie wersje rozsiewa celowo złośliwa, kłamliwa propaganda. W konsekwencji naraziłem się na podejrzenie, że pewnie jestem jednym z głównych winowajców.

Poza tym mieli ludzkie odruchy, dawali nam do picia własną herbatę z manierek, przynosili wodę na stacjach i kupowali za nasze pieniądze wszystko co jeszcze można było nabyć w bufetach kolejowych.

Towarzysze innych wagonów opowiadali nam później, że mieliśmy wyjątkowe szczęście. W innych wagonach bowiem nikt nie dostał w ciągu blisko 16 godzinnej podróży w upalny dzień ani kropli wody. Poza tym bez przyczyny byli bici do krwi.

Na stacji kolejowej w Salzburgu mijaliśmy pociągi z francuskimi i belgijskimi jeńcami. Podobne pociągi widzieliśmy także w Linzu. Współczuliśmy serdecznie towarzyszom niedoli.

Na stację Mauthausen zajechaliśmy po północy. Pociąg nasz oświetlono reflektorami samochodowymi. Oślepieni rażącym blaskiem, wychodziliśmy z wagonów i ustawialiśmy się w „piątki". Przy wyładowaniu innych wagonów słyszeliśmy krzyki i jęki. Strach ogarnął wszystkich.

Wyładowanie trwało bardzo długo. Nim ruszyliśmy w drogę przeliczono nas parokrotnie. Rozpoczął się niesamowity marsz. Zaraz po pierwszych 100 metrach, jakie przeszliśmy w drewniakach normalnym, żołnierskim krokiem, szeregi zaczęły się łamać. Sami dbaliśmy o to, by nie dawać najmniejszego powodu do niezadowolenia lub interweneji, tymczasem eskorta SS-ów starała się sama popsuć naszą kolumnę marszową. Co pięć kroków z boku szedł żołnierz, przed nami i za nami silne oddziały.

W pewnej chwili zrobiło się zamieszanie. SS-mani zaczęli popędzać szeregi jeńców, krzycząc, bijąc kolbami i lufami karabinów. Maszerujące szeregi skotłowały się. Słabsi pozostali w tyle. Walenie kolbami było coraz gęstsze. Więźniowie padali na ziemię, tratowaliśmy w ciemnościach własnych towarzyszy.

Nie mogliśmy się zorientować, skąd powstało zamieszanie w szeregach, staraliśmy się zaprowadzić jakiś ład w kolumnie i uspokoić wściekłych konwojentów. Niektóre „piątki" kurczowo trzymały się za ręce i starały się wspólnymi siłami pchać się naprzód.

Szedłem mniej więcej w środku kolumny. W piątce przedemną szedł ks. dziekan Czempiel z Hajduk Wielkich, który skarżył się na serce. Wziąłem go z tyłu pod łokcie i prowadziłem do samego obozu. Za mną jakiś ziemianin z okolic Płocka, szedł, trzymając się mej marynarki. Nic mi to nie przeszkadzało, lecz w pewnej chwili zauważył to jeden z SS-ów i kolbą karabinu uderzył nieszczęśnika. Cios odczułem boleśnie i ja. W chwilę później dostałem kolbą karabinu w ramię. Za co, nie wiem.

Siedem kilometrów ciągnął się ten krwawy marsz. Bito nas, w drodze przez miasteczko w Mauthausen i przez wioskę Langenstein. Bito nas także przy wejściu do obozu.

Jakże rozkosznie zabrzmiały w naszych uszach już na trasie obozu głośne słowa oburzenia jednego z starszych podoficerów SS.

— Cóż to, sadystami jesteście? Jak można tak traktować ludzi!

W obozie nastał spokój. Ustawiono nas w szeregi po 10-ciu i odliczono po 300-tu.

Pięć trupów i około 50 rannych zniesiono z samochodów i ułożono również na placu do raportu. Marsz z dworca Mauthausen do obozu w Gusen przypłacili życiem:

1) Fortunat Napierkowski, urodzony 16. 4. 1882 w Pułtusku.
2) Franciszek Macarski, urodzony 4. 10. 1880 w Tykocinie.
3) Józef Walke, urodzony 7. 2. 1896 w Richtersdorf.
4) Henryk Szczepański, urodzony 7. 12. 1914 w Płocku.
5) Kazimierz Czarnowski, urodzony 1. 5. 1911 w Kętach.

Wszyscy oni wyruszyli z Dachau zupełnie zdrowi, nikt z nich nie chorował, nikomu nic nie dolegało. Tej samej nocy pomordowanych odwieziono do krematorium w Mauthausen.

Rannych z połamanymi rękami, nogami, bez opieki sanitarnej, bez jakiejkolwiek pomocy umieszczono na blokach 4 i 5.

Cały nasz transport liczył 1084 jeńców i takie otrzymaliśmy kolejne numery wraz z pomordowanymi.

Gusen... Gusen...

Ktokolwiek przebywał w obozie koncentracyjnym Gusen jako więzień, był przekonany, że nazwa Gusen znana jest na całym świecie, że wszystkie gazety świata rozpisują się o niesamowitych, koszmarnych zbrodniach popełnianych w tej miejscowości i że na świecie całym nie ma człowieka, któryby nazwy Gusen nie znał i nie wspomniał jej z zimnym dreszczem wstrętu i lęku

Po odzyskaniu wolności szedłem pieszo w stronę Wiednia. Pierwszy mój postój był w miejscowości Schwertberg, położonej zaledwie 11 km od obozu koncentracyjnego Gusen. U miejscowego kowala poprosiłem o wodę. Wystraszony Austriak zaofiarował mi obiad.

— Widzę, że jesteście z obozu koncentracyjnego, prawdopodobnie z tej mordowni Mauthausen. Obiad skromny, ale może nie pogardzicie. Proszę bardzo, wstąpcie do domu — zapraszał.

Z ofiarowanego obiadu skorzystałem. Byłem głodny a nogi moje dopominały się chwili wypoczynku. Dziękując uprzejmemu Austriakowi tłumaczyłem:

— Nie z Mauthausen idę, ale z tej najstraszniejszej mordowni świata... z Gusen, gdzie przebywałem 5 lat. Jestem jednym z niewielu, którzy ocaleli.

Z Gusen? — zdziwił się uprzejmy gospodarz. — A gdzie to leży?

Patrzyłem na niego wielkimi oczyma. Jakto? On nie wie, gdzie Gusen? On nie słyszał o strasznych zbrodniach popełnionych w tym obozie?

— To wy o Gusen jeszcze nic nie słyszeliście? — zapytałem z niedowierzaniem, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, nie ukrywając zdumienia i lekceważenia.

Niemiec zaskoczony moim pytaniem tłumaczy się nieśmiało.

— Nie! W naszej wiosce nikt nie słyszał o takiej miejscowości, ani o obozie koncentracyjnym w Gusen. Znamy tylko obóz w Mauthausen. Dochodziły nas słuchy, że w obozie tym mordują więźniów, ale nikt nie chciał wierzyć. Dopiero w tym roku, w styczniu, przekonaliśmy się, że pogłoski o zbrodniach w Mauthausen były prawdziwe. Widzieliśmy na własne oczy, do czego te zbiry SS-mani są zdolni. Tutaj w naszej miejscowości wymordowali około 200 więźniów. Patrzyliśmy jak strzelano do bezbronnych, jak ich dobijano kolbami karabinów Najstraszniejszą śmiercią ginęli jednak ci, których dopadły rozjuszone psy i szarpały na części. Wszystkich wymordowano, ani jeden się nie uratował. Wiem, że istnieje rzeczka Gusen, ale o miejscowości takiej słyszę po raz pierwszy.

Trudno mi było pojąć, że zaledwie 11 km od obozu gusenowskiego żyją ludzie, którzy o nim nic nie wiedzą. Nie wiedzą, że tam wymordowano około 40.000 ludzi.

Austriak opowiadając o śmierci 200 więźniów, przypomniał mi historię słynnej ucieczki oficerów polskich, sprowadzonych z Węgier oraz oficerów Armii Czerwonej, którzy zginęli w drodze od Mauthausen do Perg.

Owi oficerowie przybyli do obozu w Mauthausen z końcem grudnia 1944 roku i z początkiem stycznia 1945 r. żadnego z nich nie zarejestrowano i nie numerowano. Zamknięto ich w bloku 20-tym tak, by nikt ich nie widział.

Zwyczajem obozowym więźniowie bez nazwiska i bez numerów skazani byli na śmierć. Lecz na co czekali? Widocznie zabrakło gazu, albo przemyśliwano nad innym sposobem wykończenia ich.

Skazani na śmierć, bez wyroku sądowego, tylko z rozkazu wszechwładnego pułkownika Ziereisa, czy innego tyrana Himmlera lub Pohla, powzięli plan ucieczki. Barak stał w pobliżu płotu i muru, otaczającego obóz. Nieznani więźniowie zrobili

podkop z umywalni baraku pod płot i mur. Wydostali się na wolność. Ucieczkę jednak zaraz zauważono, zaalarmowane oddziały SS-ów udały się wraz z specjalnie tresowanymi psami w pościg. Austriak mówił prawdę. Wszyscy zginęli, przynajmniej tak twierdzili żołdacy SS, po powrocie do obozu.

Szedłem dalej przez miasteczko powiatowe Perg, potem do Grain i Persenburg, przez liczne wioski. Rozmawiałem z wielu ludźmi. Wszyscy twierdzili, że miejscowości Gusen nie znają, nie chcieli też uwierzyć, że był tam obóz koncentracyjny, w którym z premedytacją mordowano bezbronnych więźniów.

W Säusenstein i Neuda rozmawiałem z byłymi dygnitarzami systemu hitlerowskiego: komendantem obozu jeńców wojennych w Steyer, kapitanem Ecksteinem i kierownikiem rejonowego frontu pracy na powiat Melk, Edlerem Z rozmów z tymi „panami" nabrałem przekonania, że i oni nie mieli pojęcia o obozie w Gusen ani wogóle o stosunkach, jakie panowały w obozach koncentracyjnych.

I co na to moi szanowni towarzysze niedoli?

Co powiedzą na to ci, którzy rozgłaszali wieści, że Gusen jest na ustach całego świata? Że o zbrodniach w Gusen poinformowane są rządy wszystkich państw?

Gusen — to dziura, nie zaznaczona na żadnej mapie, w żadnym spisie nie figurująca.

A nam przez te pięć lat niewoli wydawało się, że Gusen jest przynajmniej tak znane jak Dachau!

Co to jest Gusen?

W gminie Langenstein, w powiecie Perg od bardzo dawnych czasów były kamieniołomy, które zwały się Gusen. Rzeczka tej samej nazwy przepływa na południe od kamieniołomów i zaraz za wioską Langenstein wpada do Dunaju.

Gmina Langenstein w roku 1939 liczyła 1800 mieszkańców. Do tegoż czasu kamieniołom Gusen był własnością prywatną kilku miejscowych gospodarzy. Następnie podczas wojny kamieniołom i szmat ziemi nabyła firma „DEST")Deutsche Erd- und Steinwerke), fikcyjna zresztą, za którą kryła się organizacja SS z Himmlerem na czele.

Firma „DEST" rozpoczęła eksploatację kamieniołomu rękami więźniów, sprowadzonych z obozu w Mauthausen, oddalonego o około 3 km. Firmie „Dest" nie zależało na wydajności pracy: kamieniołom służył przede wszystkim władzom SS, jako sposób wyniszczenia i wymordowania więźniów.

W roku 1940 wykupiono dalsze tereny okolicy kamieniołomu w Gusen i postawiono baraki administracyjne oraz mieszkalne. Postanowiono tam wybudować specjalny obóz dla więźniów-Polaków. Obóz ten pomieścić miał 10.000 ludzi. Poza obozem ustawiono baraki dla oddziałów SS.

Na terenie obozu ustawiono 32 baraki, każdy na 300 jeńców. Dalej kuchnie. W roku 1942 urządzono tu także luksusowy dom rozpusty, w którym znalazło pomieszczenie 10 więźniarek z obozu w Rawensbrueck. W roku 1944 stan bloków mieszkalnych dla więźniów powiększono do 36.

Między blokami mieszkalnymi wybudowano ustępy i umywalnie, zaś z tyłu za barakami łaźnie i krematorium.

W maju 1944 napływ więźniów był tak duży, że na terenach na zachód od obozu wybudowano drugi, przewidziany również na 10.000 ludzi. Obóz ten nosił nazwę Gusen II i podlegał obozowi I. Więźniowie w tym obozie byli odseparowani, trudno było się z nimi porozumieć. W tym samym roku wybudowano jeszcze mały obóz w miejscowości Lungitz, gdzie czynna była piekarnia, zatrudniająca 250 więźniów.

Prócz obozów, więźniowie wybudowali olbrzymi kompleks budynków przemysłowych i mieszkalnych, mieszczących ponad 2.500 żołnierzy i podoficerów, lokale na biura, kuchnie, kantyny i restauracje. Wszystko to stanęło w okolicy obozu, według projektów i rękami więźniów.

W miejscowości St. Georgen, o 3 km na zachód od obozu, powstało duże osiedle dla rodzin oficerów i podoficerów SS i dla licznych majstrów cywilnych. Urządzono place sportowe, strzelnice i specjalne baraki dla robotników obcokrajowców.

Firma „Dest" rozbudowała się do milionowego przedsiębiorstwa: zakupiła kamieniołomy Kastenhofen i Pyrchbauer, postawiła rzekomo największy na świecie młyn do mielenia kamieni (Schottersilo), postawiła w Gusen i St. Georgen olbrzymie budynki administracyjne, warsztaty rzemieślnicze i wielkie hale do obróbki kamienia.

W latach 1943 na terenie Gusen rozwinęły swą działalność firmy uzbrojeniowe: Steyer, Messerschmidt, Ruestung-Wien i Esche. Wybudowano dziesiątki sal, wkopano się pod ziemię, tworząc gigantyczne hale dla 15 tysięcy więźniów pracowników. Linia kolejowa połączyła St. Georgen z Gusen i Wiener-Graben.

Przez Gusen przeszło w ciągu 5 lat więcej niż 200 tysięcy więźniów. W latach 1940 do 1945 wymordowano tu ponad 40.000 więźniów. Przebywali tu więźniowie 31 narodowości świata.

Każda okruszyna ziemi jest tu przesiąknięta krwią męczeńską więźniów...

Okolica Gusen jest żyzna i bogata. Przez 5 lat nasycana dymem spalanych ciał, ulatniającym się z komina krematorium.

A jednak Gusen nie figuruje na mapie i nikt miejscowości tej nie zna.

Gusen w roku 1940

Do Gusen przybyliśmy w nocy. Nic dziwnego, że w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy. Następnego dnia, t. j. 26 maja 1940 roku, próbowaliśmy zorientować się w sytuacji.

Różnica z obozem w Dachau była duża. Obóz w Dachau trwał już 7 lat. Miał murowane cementowe bloki, zadrzewione ulice, piękne trawniki, światło elektryczne, wodę bieżącą, nowoczesne ustępy, umywalnie. Bloki mieszkalne były urządzone wzorowo. Wszędzie łóżka, szafki, a w nich wszystko co potrzeba. Żołnierz w koszarach nie miał takich wygód i nie był tak świetnie wyekwipowany w wszelaki sprzęt codziennego użytku jak więzień w Dachau. Łóżka z pościelą, w każdej szafce miska, talerz, łyżka, widelec, nóż, kubek, ręcznik, ścierka, szczotka do rzeczy, szczotki do butów, mydło itp. Podobno później zmieniło się na gorsze, jednak więźniowie, którzy przybyli do Dachau w kwietniu 1940 roku, dostali pełne, przyzwoite wyekwipowanie. Nawet nam, więźniom trudno było niedocenić wzorowych porządków, jakie pod tym względem tam panowały.

W Gusen było okropnie. Obóz był w trakcie rozbudowy, nie ogrodzony jeszcze murem kamiennym. Zwykły prowizoryczny płot z drutu kolczastego dzielił nas od wolności, tyle tylko że był pod prądem elektrycznym. Za ogrodzeniem co 40 kroków krążyli SS-mani.

Zapowiedziano nam, że do płotu nie wolno się zbliżać. Kto podejdzie na odległość mniej więcej 5 kroków, czyli przekroczy t. zw. linię demarkacyjną wewnątrz obozu, zostanie zastrzelony.

Prowizoryczne dwie bramy, wiodące do obozu, ledwo trzymały się na zawiasach, wydawało się, że wiatr je lada chwila wywróci.

Wchodzić i wychodzić z obozu wolno było tylko przez jedną bramę, przy której stała mała, drewniana buda, t. zw. „Schuhhaus".

W budzie tej urzędowali SS-owcy, zapisując kto wszedł i kto wyszedł z obozu.

Strzegło nas także 6 drewnianych wież wartowniczych.

Plac apelowy dopiero regulowano. Był to wówczas rodzaj wydeptanej łąki, na której gdzie niegdzie zieleniła się trawa. Północna część była uporządkowana i wyłożona kamieniami lub cementem, reszta pełna była wyboi, kup ziemi i kamieni.

Na północnym krańcu placu apelowego stały kuchnie, obliczone na przygotowanie potraw dla 8.000 więźniów.

Ulic jeszcze nie było, tylko między blokami wiodły drogi gliniaste, w okresie deszczu zamieniające się w olbrzymie kałuże błota, przez które musieli przechodzić więźniowie.

Baraki ustawione były w 4 rzędy po 56 metrów długie i 8 metrów szerokie.

Zbudowane były na palach. Dostawaliśmy się do nich po 5 do 6 schodach. Robione były prowizorycznie, z drzewa. Przez szczeliny hulał wiatr ze wszystkich stron. Duże szczeliny były i w podłogach, umyślnie rozszerzone, żeby przez nie ściekała woda. Pod barakiem było dużo miejsca. Były bowiem 1 m do 1,20 m wysokie.

Barak dzielił się na dwie części, każda z oddzielnym wejściem. Pierwszą część nazywano izbą A, drugą izbą B. W każdej izbie było miejsce dla 150 więźniów. Pod ścianami stos sienników, na dzień ułożone w formie łóżek i starannie przykryte kocami, na noc rozkładane na całej podłodze w szeregi.

Każdy z więźniów otrzymał miskę i kubek porcelanowy, łyżkę, nóż, ręcznik, ścierkę i mydło. Na te przybory zrobione były specjalne półki na ścianach. Wykonywano je nieoficjalnie, t. zw. drogą „wewnętrznej organizacji". Każdy blokowy kradł gdzieś deski i gwoździe, zdobywał spośród robotników stolarzy, starając się jak najprędzej uporządkować blok przez umieszczenie owych półek. Regulowanie należności robotników, dostawców drzewa i gwoździ odbywało się naszym kosztem. „Potrącano nam" porcje margaryny i sera, z obiadów część zupy.

Inaczej mieszkali „prominenci", t. j. blokowi izbowi i pisarze. W każdej izbie oddzielono szafkami obszerne miejsca, gdzie stały dwa żelazne łóżka wojskowe, stół, wiadra i t. p. rzeczy.

Tam przechowywano wszelkie produkty i towary, jakie przydzielano więźniom. Miejsca te nazywano „kapufami". Zwykłymu więźniowi wstęp do kapufów był surowo wzbronio-

ny. W kapuście A mieszkali: blokowy i sztubowy, w kapuście B: szrajber i drugi sztubowy. Poza dygnitarzami wstęp do kapuśfów mieli „szwungowie", t. zn. ich ordynansi, którzy czyścii im buty, ubrania i obsługiwali „panów" bloku.

Plagą baraków były mrówki, które urządzały sobie stałe promenady po podłogach i ścianach baraków, nie oszczędzając leżących na podłogach, znużonych więźniów. Dla blokowych, sztubowych mrówki były pomocą w wyszukaniu brudnych naczyń, misek, kubków i łyżek, do których się garnęły.

Miejsca ustępowe były prowizoryczne, mieściły się w ulicach pomiędzy barakami tak samo jak umywalnie. Każdy rząd bloków miał po dwa ustępy, zresztą nie wystarczające. Prowizorium ustępowe istniało od maja do listopada 1940 roku. O pracę przy czyszczeniu tych przybytków dobijali się wszyscy. Było to lepsze miejsce robocze, zapewniające spokój, a przede wszystkim znośne życie. Jednakże czasem i czyściciel ustępów dobrze oberwał.

Rodzaj budynku otwartego z wszystkich stron, jednak z dachem nad głową, nad zwykłym dołem kloacznym, oto wszystko. Siedzenia tylko z belek, trzeba było ostrożnie się zachować, by nie wpaść do dołu. Rozwydrzeni więźniowie niemieccy urządzali sobie często żarty, spychając nieszczęsnych więźniów-Polaków do tych dołów kloacznych.

Czyszczenie dołów kloacznych należało do oddziału karnego, złożonego przeważnie z żydów, ci bowiem przymusowo należeli do tych oddziałów. Nieczystości wynosili w beczkach daleko za obóz, wylewając je w specjalne doły. Dozorujący więźniowie, t. zw. „kapo", a przede wszystkim SS-owcy, pilnujący pracy oddziału żydowskiego, wtrącali nieszczęśników wraz z beczkami do tych dołów. Wielu z nich znalazło w ten sposób śmierć. Wskutek takich żartów ginęli również i Polacy. Do dołów wrzuceni zostali także Ludwik Giełda i Czesław Bobowski z Poznania, moi znajomi jeszcze z młodych lat i Powstania Wielkopolskiego. Jednego i drugiego zrzucano z 7 metrowego nasypu do śmierdzącego dołu, napełnionego odchodami ludzkimi. Wydobyto ich wprawdzie jeszcze przytomnych, lecz wskutek przejść wkrótce zmarli.

Tragedia była z miejscami w ustępach. Było ich tak mało, że przed ustępami ustawiały się długie kolejki. Kolejki takie stały również po nocach. Przy tej okazji niejeden z więźniów znalazł śmierć. Śmierć bowiem czekała każdego, kto idąc ulicami w pantoflach drewnianych zbudził któregoś z nerwowych „prominentów" obozowych.

Byłem świadkiem takiego mordu na ulicy między blokiem 14-tym a 15-tym. Jakiś człowiek wyszedł w nocy około 12-tej z bloku 15-tego. Księżyc świecił jasno. Więzień szedł w stronę ustępu, drewniaki stukały po rozsypanych kamieniach, przeznaczonych do budowy ulicy. Nagle wyskoczył z tego samego bloku znany morderca, Austriak Krakower, starszy izby, i grubą pałką począł bić niemiłosiernie nieszczęśliwego człowieka.

— Ja cię nauczę tłuc się po nocach! Nie możesz chodzić boso? — wrzeszczał tak, by go wszyscy słyszeli, bijąc bez przerwy swoją ofiarę.

Gdy nieszczęśliwy więzień upadł, zbir wskoczył nań nogami i począł deptać po brzuchu i piersiach, kopiąc po głowie i całym ciele. W końcu, gdy ofiara jego była wpół przytomna, stanął jedną nogą na piersiach nieszczęśliwego, drugą przygniótł krtań, dusząc w ten sposób swoją ofiarę. Nieszczęśliwy, starszy wiekiem więzień, chwilę jęczał i charczał, wreszcie... zamilkł.

Krakower, spostrzegłszy, że ofiara jego nie żyje, roześmiał się z zadowoleniem. Zgromadzonym około 10 świadkom oświadczył:

— Taki sam los spotka każdego, kto mnie w nocy obudzi.

Miejsca ustępowe dla blokowych, izbowych, szrajberów i innych dygnitarzy były specjalnie strzeżone. Biada czyścicielowi, któryby spróbował ich oddać do użytku zwykłym więźniom.

Umywalnie stanowiły długie koryta z blachy cynkowej, do których napuszczano wodę z prowizorycznych przewodów. Woda ściekała do wykopanego obok szerokiego dołu. Doły te służyły także za miejsce kaźni. Topiono w nich ludzi, których za jakieś przewinienie blokowy lub kapo skazał na śmierć.

Myć się i czyścić naczynia wolno było tylko w pewnych określonych godzinach. Kto w innej porze był przychwycony na korzystaniu z wody, chociażby z jej zlewów w dołach, był karany. Blokowi i SS-owcy urządzali sobie dzikie zabawy w takich umywalniach. Gdy po pracy który z więźniów chciał umyć brudne ręce, blokowi i SS-owcy przychwyciwszy winowajcę na gorącym uczynku, wrzucali go do dołu, napełnionego wodą lub wymierzali chłostę bykowcami. Później, gdy ostrożni więźniowie nie zbliżali się do niebezpiecznego miejsca, kandydatów na przymusową kąpiel w ściekach i katowanie bykowcami chwytano na drogach i sprowadzano przemocą.

Od maja do sierpnia 1940 roku widywałem takie sceny codziennie.

Między blokami 11-tym a 12-tym było takie specjalne miejsce „rozrywkowe". Tutaj wyprawiali dzikie harce starszy bloku 11-go, więzień niemiecki Hugo Reichling oraz „Blockfuehrer" tegoż bloku, podoficer Stahl. Z sadystyczną rozkoszą znęcali się obaj nad więźniami. Codziennie niemal zabawiali się wrzucaniem więźniów do dołu z wodą, względnie tłukli bez miary bykowcami.

Pewnego dnia blokowy Reichling sprowadził na taką zabawę młodego chłopca, usiadłszy na stołku przed blokiem, Reichling rozkazał chłopcu nachylić się i wziął głowę jego między swoje nogi. Podoficer Stahl zabierał się do wymierzenia chłosty, biorąc do ręki bykowiec. W tym momencie przybiegł do Reichlinga jego „szwung" i szepnął, że ten właśnie chłopiec jest synem milionera warszawskiego. Reichling natychmiast puścił bfiarę.

— Co? Twój ojciec jest milionerem? — zapytał radośnie zdegenerowany bandyta, trzęsącego się ze strachu chłopca.

Chłopak potwierdził.

— Nie bój się. Nic złego ci się nie stanie. Będziesz do mnie codziennie przychodził po zupę, dostaniesz jeszcze chleba.

Faktycznie Reichling nic złego mu nie zrobił. Zabrał chłopca do swojego kapufu, częstował go chlebem i kawą, zapraszał, by go częściej odwiedzał.

— Ja się tobą zaopiekuję i nie umrzesz w obozie. Nie myśl jednak, że robię to za darmo. Musisz twojemu ojcu napisać, że ja tobie życie ratuję, a on musi mi za to zapłacić — postawił sprawę wyraźnie.

Chłopak zrozumiał i z oferty skorzystał. Dzięki bandycie Reichlingowi nie zginął, jak inni jego towarzysze niedoli. Poszedł na wolność.

Nie żałować... zabijać

Gdyśmy przyszli do Gusen, w obozie zastaliśmy 209 więźniów, zajmujących blok 8-my. Faktycznie należeli oni do obozu w Mauthausen, byli tylko odkomenderowani do Gusen do robót wewnątrz obozu.

Wśród tych więźniów było około 50 Polaków, przybyłych już straszne katusze. Opowiadali, że było ich 3000, że zostali z obozu w Buchenwald, przeważnie Ślązaków, którzy przeszli aresztowani zaraz w pierwszych dniach wojny. Mordowano ich

na różne sposoby. Z trzech tysięcy zostało ich zaledwie setka. Wśród zamordowanych byli Biniszkiewicze z Katowic. Dane te podawali nam Ślązacy: Władysław Cebulski z Katowic, Jan Wieczorek z Rudy, Kaleta z Łagiewnik, Mazelik z Michałowic. Polak z Małej Dąbrówki, Korek inni. W Buchenwaldzie mordowani byli przez żydów, którzy zajmowali tam stanowiska blokowych i kapów. Ci wymyślili nowy sposób mordowania: kąpiele gorące i zimne, potem przy 30° do 40° mrozu parę godzin na dworze w szeregach.

Opowiadali także, że przed naszym przybyciem do obozu w Gusen panował tam straszny głód. Otrzymywali zaledwie 150 gramów chleba dziennie. W zupach obiadowych brak było tłuszczu. Ludzie padali jak muchy. Z głodu rzucali się na każdą odrobinę strawy, jak zgłodniałe wilki.

Z naszym przybyciem do obozu sprawa aprowizacji poprawiła się. Dla tak zwanego „Stammu", to jest więźniów pochodzących z Mauthausen, nastała konjuktura nażarcia się. Żywienie więźniów należało bowiem również do sposobów usuwania i wyniszczenia ludzi. SS-owcy, kierownicy tej morderczej akcji postępowali przytem niezwykle perfidnie o czym świadczy następujący fakt:

Na kilka dni przed naszym przybyciem do obozu w Gusen, „Raportführer" Isenberg zwołał więźniów niemieckich, przewidzianych na stanowiska „blokowych" i „kapów". Zapowiedziawszy przybycie Polaków, dał im zupełną swobodę w postępowaniu z nimi. Słowa owego Raportführera powtarzał mi Hugo Gasch z Bytomia, blokowy 12-go bloku. Isenberg miał powiedzieć:

— Muszę wam zakomunikować, że w najbliższych dniach do naszego obozu przybędą Polacy. Pamiętajcie o tym, że wy, chociaż więźniowie, jesteście Niemcami i że przy dobrym sprawowaniu możecie odzyskać wolność. Pamiętajcie, że Polacy to banda zbrodniarzy, która sprowokowała wojnę i pragnie wyniszczyć nasz naród. Nic nie może was z nimi łączyć. Przeciwnie: powinniście zadokumentować jak największą nienawiść do tych łotrów. Szczególnie zwróćcie uwagę na tych bandytów, którzy wkrótce przybędą do naszego obozu. Są to najniebezpieczniejsze ptaszki. To zbóje i łotry, zorganizowani partyzanci, którzy mordują podstępnie. Oni to wymordowali naszych rodaków, mieszkających w Polsce. Nie dość że zabijali, ale się nad swymi ofiarami znęcali i zadręczyli na śmierć. Z gazet przecież wiadomo wam wszystkim, że wielu z naszych rodaków w Polsce

zostało pogrzebanych żywcem, że przybijano im języki do stołów i wykłuwano oczy.

„Was może spotkać ten sam los. Ci bandyci zdolni są pod osłoną nocy zakraść się do waszych izb i śpiących pomordować. Miejcie się na baczności i rozstawiajcie straże!

„Musicie być twardzi, trzeba zaraz na wstępie ująć te polskie hordy w karne ramy. Macie prawo zabić każdego, kto nie wykona waszego rozkazu. Musicie wymagać bezwzględnego posłuszeństwa. Żaden Polak nie ma prawa zgłosić się do mnie lub do którego z „blockführerów" bez waszej wiedzy i zgody. Wy też będziecie odpowiedzialni, jeżeli któremu z nas stanie się jaka krzywda. Wszyscy odpowiadacie za to głowami.

„Polacy powinni być wyniszczeni. Nikt z nich nie powinien ostać się. Apeluję do was: nie żałować, zabijać! Leży to w waszym interesie. Za każdego zabitego Polaka dostaniecie po pół bochenka chleba!"

Hugo Gasch zapewnił mnie, że tylko nikła część Niemców uwierzyła w te brednie Isenberga. Zaraz po jego odejściu rozpoczęła się dyskusja na ten temat. Starzy bywalcy obozów poznali się na tej intrydze.

Tak samo jak Isenberg szczuł Niemców na Polaków, tak dawniej szczuto ich na Austriaków, na czerwonych rodaków itp.

Isenberg zapowiedział, że dzięki jego staraniom więźniowie z Mauthausen pozostaną na stałe w Gusen i będą sprawowali rządy nad Polakami. Każdy z nich otrzyma dobre stanowisko.

Władze berlińskie projektowały stworzenie obozu wyłącznie polskiego, z własnym, wewnętrznym zarządem. Świadczy o tym nadanie nam kolejnych numerów od 1 do 1084. Następny transport jaki przybył z Sachsenhausen, otrzymał dalszy ciąg numerów: od 1085 do 2085. Dopiero po tym transporcie rozstrzygnęły się losy więźniów-Niemców, odkomenderowanych do Gusen z obozu Mauthausen: otrzymali oni dalszą kolejną numerację.

Konieczną obecność więźniów niemieckich w obozie w Gusen uzasadniono tym, że Polacy rządzić się nie potrafią. Żadnego Polaka nie można powołać na stanowisko starszego bloku lub przodownika robót (kapo). Te stanowiska obsadzane mogą być tylko przez Niemców.

Pierwszy transport Polaków z Dachau rozmieszczony został w obozie gusenowskim w blokach 2, 3, 4 i 5, gdzie blokowymi byli: Pastewka z Westfalii, Schubert z Wiednia, Kuelemund z Hamburga i Mank z Hannoweru.

Drugi transport Polaków nadszedł 28 maja 1940 z obozu w Sachsenhausen. Liczył on 1000 więźniów o nazwiskach od A do M. Rozmieszczono ich na blokach 6, 7, 8 i 9, gdzie rządzili blokowi: Mank z Hanoweru, Martik z Essen, Morent z Austrii, Nagel z Bawarii.

Z tych obu transportów wybrano 200 więźniów i wysłano do obozu w Mauthausen.

Następny transport więźniów-Polaków nadszedł również z Sachsenhausen w dniu 1 czerwca 1940 i obejmował też 1000 więźniów. Wybrano z niego 200 więźniów, których wysłano do Mauthausen tak, że tylko 800 pozostało w Gusen. Rozlokowani zostali oni na blokach od 2 do 12.

Kiedy zakwaterowano nas w Gusen miał do nas przemówienie ówczesny kierownik obozu „oberszturmführer" Karl Chmielewski. Mówił, jak mamy zachować się w obozie. Wymagane jest bezwzględne posłuszeństwo. Między innymi powiedział, że nie wolno posiadać zapałek, zapalniczek, papierosów, tytoniu, noży względnie scyzoryków. W razie znalezienia tych przedmiotów u któregokolwiek z więźniów, ten zapłaci to życiem. Kara śmierci grozi i za nieposłuszeństwo wobec blokowych, sztubowych, kapów i pisarzy, za zbliżenie się do płotu odgradzającego obóz.

Słowa jego tłumaczył na język polski Piotr Jasiek, nauczyciel z Wielkopolski, który tegoż dnia został portierem przy głównej bramie wejściowej. Pełnił również funkcje tłumacza. Nazywano go „laufrem".

Teraz zorientowałem się w sytuacji całkowicie. Rzeczywistość nie przedstawiała się różowo. Zaczną się tu nami zbyt mocno interesować i przy lada okazji — wykańczać. Trzeba pomyśleć o jakimś wyjściu z sytuacji i jakimś ratunku.

Zdawałem sobie sprawę z tego, co mnie spotkać może, kiedy się tu dowiedzą, że jestem dziennikarzem, publicystą, a zwłaszcza, że pisałem książki o niemieckich obozach koncentracyjnych. Pełniący straż w obozach SS-mani zamordują mnie bez pardonu. Trzeba więc tak kombinować, by nikt się nie dowiedział, kim jestem. Akta moje znajdują się napewno w biurze politycznym. Trzeba za wszelką cenę tam się dostać i akta zniszczyć.

Już w drugim dniu naszego pobytu w obozie w Gusen, udało mi się zaskarbić sobie łaski pierwszego pisarza obozowego. Rudolfa Maixnera. Potrzebował on ludzi biegle piszących na maszynie. Zgłosiliśmy się we trzech: Karlik, Colała, Martinowski i ja. Pisaliśmy spisy więźniów przybyłych do obozów, Maix-

ner był z nas bardzo zadowolony, wynagradzał naszą pracę bochenkiem chleba i puszką konserw.

Ryzykując zwróciłem się pewnego dnia do niego z moimi kłopotami.

— Zrobi się — odpowiedział dumny ze swych możliwości pierwszy pisarz obozowy. — Zwrócił się właśnie do mnie z prośbą „oberscharführer" Struhler, kierownik oddziału politycznego, bym mu wyszukał dwóch zdolnych ludzi do pracy. Myślę, że ty i Cofała jesteście dość sprytni. Pójdziecie tam do kancelarii, a przy okazji odszukacie akta i co wam się w nich nie podoba przyniesiecie do obozu i spalicie.

Śmiałą propozycję Maixnera zaakceptowałem, radując się już z góry, że w ten sposób uda mi się Niemców wykiwać.

Maixner ciągnął dalej:

— Ale za dwa lub trzy dni ściągnę was z powrotem do obozu, to nie dla was robota. Struhler to bardzo zły człowiek. Jak chcecie, możecie sam skierować kogoś z waszych przyjaciół. Polubiłem was i nie chcę by wam się działa krzywda. Mam dla was świetne miejsca pisarzy blokowych, na tych stanowiskach możecie ze spokojem oczekiwać końca wojny.

Jak powiedział tak i zrobił. Następnego dnia byliśmy przedstawieni Struhlerowi i rozpoczęliśmy pracę w biurze politycznym. Daremnie jednak szukaliśmy naszych akt — nie nadeszły. Utknęły pewnie w Dachau lub gdzieś w biurach gestapo.

Maixnerowi zdaliśmy relację z poszukiwania akt. Gdy dowiedział się, że akta nie nadeszły, polecił nam wyszukać zaufanych ludzi, pouczyć ich, co i jak mają robić. Zostaną skierowani do pracy w biurze politycznym, my zaś wrócimy na bloki.

Namówiliśmy nauczyciela Boehma z Katowic i Kaisera z Rybnika. Obaj przyrzekli, że będą starannie przeglądać wszystkie akta i usuwać z nich takie papiery, które mogą zaszkodzić więźniom.

Kilka dni później Boehm przyszedł do mnie na blok i z radosną miną wręczył mi plik różnych pism, wyjętych z moich akt personalnych. Pierwsze z nich zawierało dwie strony pisma maszynowego i pochodziło z gestapo z Katowic. Zaawansowałem tam na naczelnego redaktora wydawnictwa Polonii w Katowicach, jednego z najbardziej szowinistycznych działaczy na Górnym Śląsku. Podkreślono, że byłem najbardziej zawziętym wrogiem Niemiec. Napisano tam również, że byłem jednym z kierowników powstania w Wielkopolsce i rzekomo przyczynić się miałem do śmierci tysięcy Niemców. Raport obejmował rów-

nież moją działalność publicystyczną, w końcu nadmieniał, że byłem przez władze niemieckie poszukiwany już w roku 1935.

Przyglądając się tej ostatniej cyfrze nie chciałem wierzyć, że już w roku 1935 figurowałem na liście przestępców Trzeciej Rzeszy. Listy takie, „Reichspfandungsliste", obejmujące dziesiątki tysięcy nazwisk, wydawane były rok rocznie w książkach, w nakładzie ponad trzydzieści tysięcy egzemplarzy.

Pismo katowickiego gestapo czytałem kilka razy, pokazywałem je różnym współtowarzyszom niedoli. Wprost nie miałem ochoty zniszczyć tak pięknego, pamiątkowego dokumentu. Wreszcie Wojtaszek Imiela wyrwał mi go z rąk i podarł na strzępy i spalił.

Następne cztery dokumenty dotyczyły zdrady Zbrzeźniaka z Chorzowa, zdrajcy z obozu w Dachau.

Po tej akcji wróciłem na swój blok, gdzie z racji znajomości języka niemieckiego zostałem pisarzem.

Boehm i Kaiser, którzy później pracowali w oddziale politycznym obozu gusenowskiego, czyścili akta również innym naszym współtowarzyszom niedoli, przeważnie bez ich wiedzy. Radziłem im nie chwalić się bo — pomijając niebezpieczeństwo kary śmierci — ewentualna „wsypa" mogłaby na zawsze udaremnić ratowanie tych, którym śmierć groziła przez poważne dane w aktach.

W rok później, gdy Kaiser zachorował, zdecydowałem się zastąpić go w pracy. Zostałem przyjęty i przez cały tydzień miałem okazję do przeglądania akt.

Każdy więzień miał swoją specjalną teczkę, zawierającą wszystkie papiery, które dotyczyły jego osoby. Niemieccy więźniowie kryminalni mieli akta ważące po 5 i 6 kg. Zawierały one odpisy wszystkich kar itp. Akta Polaków były dość szczupłe objętościowo. Przeważnie zawierały po jednym arkuszu pisma, chociaż SS-mani pracujący również w oddziale politycznym, starali się powiększyć rozmiary akt. Zawierały przeważnie akt przyjścia więźnia do obozu i zapytanie oddziału politycznego z Gusen do Gestapo, z jakich przyczyn więzień siedzi.

Do rąk wziąłem również moje akta, przekonany, że są czyste. Tymczasem znalazłem odpowiedź katowickiego Gestapo na pytanie dlaczego mnie aresztowano. Tym razem odpowiedź była bardzo krótka, zawierała oskarżenie, że napisałem książkę „Za drutami i kratami Trzeciej Rzeszy".

Kompromitujące mnie pismo wyjąłem i zniszczyłem.

Poraz trzeci czystkę moich akt przeprowadził b. inspektor szkolny Marcel Wyrwiński. Było to w lutym 1943 roku. Wyr-

wiński znalazł w moich aktach nowe pismo Gestapo, w których znów uzasadniano dlaczego osadzono mnie w obozie koncentracyjnym. Pisma te poszły jak poprzednie — do pieca.

Wyrwiński, Józewicz, Kazimierz Odrobny i inni Polacy, którzy pracowali w biurze politycznym, starannie przeglądali akta i uratowali wielu naszych współtowarzyszy niedoli przed grożącymi im karami.

Na 4-ce

Na naszym bloku, czyli 4-ce, gdzie pełniłem funkcję tłumacza, blokowym był niejaki Kuhlemund z Hamburga, zawodowy zbrodniarz, tak zwany „zielony". Karany był przez prawo nie tylko za złodziejstwa i przestępstwa pospolite, lecz i za zbrodnie przeciw moralności i przestępstwa natury seksualnej. Mimo brzydkiej karty kar, która stwierdzała, że był on niebezpiecznym zbrodniarzem i wyrzutkiem społeczeństwa, miał on wśród nas więźniów opinię człowieka nienajgorszego, raczej łagodnego. Specjalnych skarg na niego nigdy nie słyszałem. Nie mordował, nie dręczył, nie bił. Oczywiście, bywały i u nas rozmaite incydenty, gdy nasz blokowy wpadł w pasję, ale to były drobiazgi w porównaniu z innymi drobiazgami o których zapominało się szybko, o których nawet nie wspominaliśmy nazajutrz po przygodzie.

Dla ilustracji przytoczę jeden z takich „drobiazgów".

Przybyły wraz z nami chłop z okolic Płocka, Malinowski, zachorował pewnego dnia na biegunkę. W obozie nie było jeszcze izby chorych, ani szpitala — chorego niepodobna było odseparować. Malinowski leżał bezwładny w gorączce, na zanieczyszczonym sienniku.

Fakt ten doszedł do wiadomości blokowego. Z odłamkiem deski w ręku podbiegł Kuehlemund do Malinowskiego:

— Coś ty tu narobił, ty świnio! — wrzasnął, waląc w głowę nieszczęśnika ułamkiem deski.

Zamarliśmy z przerażenia. Nie wytrzymałem: podbiegłem i schwyciłem blokowego za rękę w chwili, gdy po raz drugi miał uderzyć chorego:

— Czy ty naprawdę nie masz sumienia? Tłuczesz człowieka tak ciężko chorego? Przecież możesz go zabić!

Chwilę patrzał na mnie zdumiony, potem jakby oprzytomniał uśmiechnął się jakby z politowaniem:

— Swoją drogą biedni wy jesteście... Tylko że wy jeszcze nie rozumiecie, co to jest obóz koncentracyjny. Jak sobie wyobrażacie, co ja mam z tym człowiekiem zrobić? On i tak musi umrzeć. Przecież tu trzymać go niepodobna, to zaraźliwe. I taki smród — nikt z was tu nie wytrzyma przy nim. I co, macie zamiar go pielęgnować? Raczej trzeba go poprostu sprzątnąć, dla waszego dobra.

Szybko tłumaczyłem słowa blokowego zebranym towarzyszom niedoli.

Zagrały uczucia ludzkie. Zrozumieli, o co blokowemu chodzi. Najgoręcej zapewniali, że zaopiekują się chorym, że utrzymają wzorowy porządek, że nie będzie najmniejszego powodu do skarg czy niezadowolenia. Ci, którzy donieśli o chorobie Malinowskiego i zanieczyszczeniu siennika, głośno przepraszali wszystkich i samego Malinowskiego, nad którym przed chwilą przesunął się cień śmierci.

Tylko ja jeden mogłem sobie pozwolić na taki śmiały protest, jak w danym wypadku. Każdy inny z Polaków uważany byłby za napastnika i poniósłby ciężką karę. Od pierwszego niemal dnia pobytu w Gusen starałem się zdobyć taką pozycję, by ratować siebie i w miarę możności pomagać współtowarzyszom. Nie uważałem na niezadowolenie i ironiczne spojrzenia rozmaitych „zasadniczych" towarzyszy niedoli 1 — tak jak ze sprawą dokumentów w biurze politycznym — pełniąc funkcję tłumacza, za wszelką cenę starałem się zdobyć zaufanie i sympatię wpływowych funkcjunariuszy — notorycznych zbójów i zbrodniarzy niemieckich. Innej drogi ratunku nie widziałem — i nie było jej istotnie.

W rozmowach, prowadzonych nieraz długo w noc, poruszałem w gromadzie tych wykolejeńców i wyrzutków rozmaite tematy, wyciągałem ich na zwierzenia, opowiadałem o sobie i o innych, starałem się słowem zrównać z ich poziomem, starałem się zdobyć zaufanie i sympatię, okazać im współczucie, wyrazić uznanie za bezsprzecznie życzliwe rozmaite drobiazgi i odruchy ludzkie, na jakie w stosunku do więźniów starali się czasem zdobyć.

Pewnej nocy wysłuchałem życiowej spowiedzi Kuehlemunda. Mówił o sobie długo i szeroko, opowiadał, że starał się wiele dobrego zrobić dla więźniów, że mu się dość często udawało pomóc komuś. Nie ukrywał bynajmniej, że był złodziejem i opryszkiem, nie tail także, że należał do grupy degeneratów tego rodzaju, których wybryki sprawiedliwość karze ostrymi wyrokami. Ale twierdził uparcie, że na dno stoczył się

z winy społeczeństwa. Brak pracy, zbyt małe, dorywcze zarobki pchały do nadużyć. Gdy raz zakosztował życia w dostatkach — nie mógł już nawrócić z drogi.

Podobną historię opowiadał mi mój pierwszy „sztubowy" Kokesch, złodziej zawodowy z Wiednia. Ten również uchodził za człowieka dobrego. Lecz mało kto wiedział, że Kokesch wyrządził olbrzymie szkody więźniom przez niesprawiedliwy podział żywności. Nie bił nikogo, potępiał metody stosowane przez innych „władców" w obozie, niejednego więźnia nawet wyrwał z rąk oprawców — nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że przez ujmowanie porcji jedzenia, był sprawcą śmierci całego szeregu więźniów, którzy umierali z głodu.

Drugim sztubowym na bloku był van Loosen, rodem z Westfalii. Ten miał trójkąt czerwony, czyli był „politycznym". van Loosena znał z opowiadań każdy więzień przebywający w Gusen, chociażby krótki czas. Miał opinię najbezwzględniejszego mordercy. O nim powiemy oddzielnie.

Czwartym i ostatnim „dygnitarzem" na bloku był pisarz Haug Henryk z Konstancy (Badenia). Należał do nielicznych uczciwych Niemców — komunistów, którzy, wierni swej idei, do nas Polaków odnosili się sprawiedliwie i nikogo nie krzywdzili. Hauk był w obozie już po raz drugi. Jako działacz partii komunistycznej w Berlinie po raz pierwszy dostał się do obozu w roku 1933. Po pięciu latach pobytu w Dachau został zwolniony. Wolnością cieszył się tylko 8 dni: schwycono go, gdy przekradał się do Francji i osadzono ponownie w obozie koncentracyjnym. Po 12-letnim pobycie w obozie koncentracyjnym siłą włożono nań znienawidzony mundur SS-mana. Dnia 1 kwietnia 1945 Henryk Haug, jako żołnierz SS, razem z 150 innymi więźniami, opuścił obóz w Gusen. Łudził się nadzieją, że gdy tylko znajdzie się na wolności, zarzuci wstrętny mu mundur i będzie ukrywał się do czasu ostatecznej klęski Niemiec.

Zaraz w pierwszym dniu mojego pobytu w Gusen, i ja znalazłem się w grupie „prominentów" czyli władców, jako oficjalny tłumacz przy sztubowym Kodeschu.

Stanowisko tłumacza było dość intratne, różniło się bardzo od takiego samego stanowiska w Dachau. Tam niedawało ono nic, przeciwnie, przysparzało tylko kłopotów.

W Gusen tłumacza płacono dodatkami żywiościowymi, uprzywilejowanym legowiskiem, zwolnieniem od wszelkich prac na bloku, dodatkowym przybziałem mydła, papierosów i innych rzeczy, znajdujących się w posiadaniu sztubowego.

Wyróżniony spośród reszty moich rodaków, otrzymywałem na przykład dwa pełne kubki sera, gdy wszyscy inni zadowolić musieli się jedną łyżką. Zupy obiadowej mogłem brać ile mi się podobało.

Pierwszy raz wstyd mi było przyjąć dodatkowe porcje. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że okradam ogół. Powiedziałem to Kokeschowi, lecz ten wyśmiał mnie i pokazał mi swoją porcję. Była ona jeszcze ze 20 procent większą od mojej. Kokesch zagarnął dla siebie i swoich towarzyszy dwie trzecie całego przydziału. Nie pozostało mi nic innego, przyjąć dodatkową porcję.

Pierwszą noc w Gusen spędziłem wraz z niemieckimi przestępcami na opowiadaniach. Między innymi rozmawialiśmy o stosunkach w obozie w Dachau, gdzie „czerwoni", czyli więźniowie polityczni, prześladowali „zielonych" i „brunatnych" czyli zawodowych zbrodniarzy i element asocjalny.

Antagonizmy między jedną a drugą grupą więźniów w Dachau wywoływane były sztucznie, przez kierowników obozu. Podjudzali oni jednych przeciwko drugim w tym celu, by ci wzajemnie się mordowali i tępili. W tym samym celu zmieniano często władze samorządowe w obozach, powierzając ją raz „czerwonym" raz „zielonym" lub „brunatnym". Ci którzy byli u władzy prześladowali i mordowali więźniów drugiej grupy, i na odwrót; gdy władze się zmieniły, prześladowani zamieniali się w mścicieli i mordowali dalej.

Dużo trzeba było czasu i perswazji ze stron obu, by przekonać więźniów, że to wzajemne mordowanie się, to tylko wynik perfidnej intrygi SS-ów. Bardzo trudno było ludzi przekonać. Jeszcze w roku 1945 antagonizm taki widoczny był, szczególnie u nowicjuszy, niemających pojęcia o życiu obozowym.

W trakcie dyskusji o antagonizmach między „czerwonymi" a „zielonymi" moi nowi znajomi wspomnieli również o metodach szczucia Niemców z Rzeszy przeciwko Austryjakom wszystkich zaś Niemców przeciwko Czechom i Polakom.

Kokesch, który perfidne intrygi SS-manów przejrzał, zapewniał mnie wówczas, że w Gusen nie dojdzie do walk między „czerwonymi" a „zielonymi", nie będzie też walk między Austryjakiem a Niemcami z Rzeszy, ani prześladowań Polaków.

Omylił się jednak. Walka między grupami i prześladowania Polaków przez Niemców powtarzały się przy rozmaitych okazjach, mącąc wzajemne współżycie. Okoliczności te to przede wszystkim zazdrość o zajmowane stanowiska, paczki albo inne korzyści materialne, względnie zemsty za wyrządzone krzywdy.

Czerwoni

W obozie koncentracyjnym w Dachau straszono nas rządami „zielonych" w Mauthausen względnie Gusen, dokąd nas wysyłano. Straszyli nas „czerwonymi", którzy w tym czasie sprawowali funkcje samorządowe w obozie w Dachau.

Poza „czerwonymi" i „zielonymi" byli jeszcze „brunatni", „czarni" „różowi", „fioletowi", „niebiescy" i gwiaździści". Te grupy więźniów kolorowych dzieliły się jeszcze na dalsze: narodowościowe i rodzajowe.

O kategoriach więźniów decydował oddział polityczny przy każdym obozie, który ustalał je na podstawie posiadanych akt z Gestapo albo władzami komunalnymi i sądowymi, które więźniów do obozów koncentracyjnych przekazywały.

W obozie każdy więzień miał na piersiach płócienny kolorowy trójkąt i numer, pod którym był w obozie zarejestrowany. Kolorowy trójkąt oznaczał grupę więźniów. Noszono je również na spodniach i na płaszczach.

Kolor czerwony oznaczał więźnia politycznego. My, Polacy, aresztowani w związku z akcją prześladowania i wyniszczenia inteligencji polskiej, nosiliśmy go również.

W Gusen przez pierwsze trzy lata nie odróżnialiśmy się od niemieckich więźniów politycznych niczem. Później dopiero kazano nam w czerwonym trójkącie namalować „P". Więźniowie polityczni innych narodowości w czerwonym trójkącie nosili literę początkową swojej narodowości według języka niemieckiego. A więc: Czesi — T, Włosi — I, Anglicy —E, Turcy — Tü, Łotysze — Le, Litwini — Li, Grecy — G, itd.

Wszyscy noszący czerwony trójkąty byli tak zwanymi „więźniami dla ochrony państwa (Schutzhäftling). Zamknięto ich w obozach rzekomo tylko dlatego, by nie przeszkadzali społeczeństwu niemieckiemu, budującemu nowe państwo III Rzeszy. Dla SS-owców więzień z czerwonym trójkątem był natomiast niebezpiecznym przestępcą politycznym, nie mówiono o nim inaczej, jak o zdrajcy kraju (Landesverräter).

Do tej kategorii należeli przede wszystkim komuniści, pierwsi więźniowie obozów koncentracyjnych, które dla nich właśnie zostały stworzone. Obozy te powstały w Dachau i Esterwegen.

Komunistów niemieckich zaczęto likwidować już w roku 1933. W ciągu dość krótkiego czasu udało się SS-owcom wymordować wszystkich wybitniejszych przywódców.

W roku 1940-tym czerwony trójkąt mieli nie tylko komuniści: dostali go i więźniowie innych przekonań politycznych (centrowcy, socjaliści, stalhelmowcy, rozmaici dygnitarze austryjaccy). Później czerwony trójkąt dawano też zwykłym bandytom, rabusiom, awanturnikom i tym wszystkim, którzy nie byli zadowoleni z systemu hitlerowskiego w Niemczech. Ci figurowali pod nazwą „mekerer".

Pod firmą „mekererów" gestapowcy załatwiali też rozmaite osobiste i partyjne porachunki, zamykając do obozów ludzi oddanych Hitlerowi. Ci w obozie szybko wyleczyli się z nabożeństwa do hitleryzmu. Przeważnie ginęli, nie wytrzymując warunków obozowych.

Od decyzji zwykłego agenta „Gestapo", co do osadzenia kogoś w obozie koncentracyjnym, nie było odwołania. Żaden sąd nie rozpatrywał, czy zamknięty w obozie winien jest zarzuconego mu przestępstwa czy też nie. Władze hitlerowskie stały na stanowisku, że obóz koncentracyjny to nie kara za przestępstwa, lecz poprostu miejsce odosobnienia dla ludzi, którzy przeszkadzają w budowie nowej niemieckiej rzeczywistości, nowego ładu.

— W obozie koncentracyjnym nie ma więźniów — twierdzili funkcjunariusze władz hitlerowskich. Głosili perfidnie, że wszyscy tam przebywający to ludzie wolni, korzystający z tych samych praw co ludzie na wolności. Nazywano też obozy koncentracyjne obozami przeszkolenia (Umschulungslager). Ci, których tam wysyłano, mieli przejść pewne przeszkolenie, by powrócić w szeregi nowego hitlerowskiego społeczeństwa i być jednostkami pożytecznymi.

Trójkąty na piersiach marynarki i płaszcza oraz na spodniach przechodziły różne koleje. Do roku 1942 musiały one być przepisowo duże, 6-centymetrowe, zrobione z materiału w kolorze amarantowym. Nikt nie odważył się nosić trójkąta w jakiejkolwiek innej formie. W roku 1943, gdy dawał się we znaki brak materiałów, trójkąty były różne: większe i mniejsze.

„Prominenci", których stać było na zapłacenie elegancko wykonanych trójkątów i numerów, zamawiali je u fachowców. Stroili się w nie jak panny na wydaniu.

Później, gdy grupy więźniów rozpoczęły pracę w zakładach zbrojeniowych „Steyera" i „Messerschmidta", fabrykowano ładnie wykonane trójkąty i numery z blachy emalią nakładane.

Trójkąty i numery nosić musieli wszyscy. Przeprowadzano często ostrą kontrolę. Zdarzyło się, że przy ciężkiej pracy trójkąt i numer stargał się lub oderwał. Zdarzało się też, że więź-

niowie przyszywali sobie numery i trójkąty fałszywe, by ciągnąć z tego jakieś zyski. Gdy się to wydało, więzień był karany, a nadto wołano do „Schuhhausu" pisarza albo blokowego i jemu również „wypłacono" 25 batów bykowcem. Nauka nie szła w las. Pisarz i blokowy pilnowali sumiennie by trójkąty i numery były w porządku.

Brak trójkąta na marynarce lub spodniach niejeden więzień zapłacił życiem. Więzień taki był katowany nie tylko przez SS-owca, ale i przez mściwego blokowego lub pisarza, który chciał powetować sobie swoją porcję batów, wziętą na rachunek trójkąta.

Ci, którzy przybyli do obozów koncentracyjnych po roku 1942, kłopotów z trójkątami i numerami już nie zaznali. Inne już wówczas były czasy i stosunki: wprawdzie noszenie trójkątów i numerów obowiązywało, jednak za brak ich nie karano śmiercią.

Mylne jest niestety zdanie, że więźniowie z czerwonym trójkątem, zachowali się w obozach wzorowo. Trójkąt nigdy nie mówił o charakterze i postawie. Mordował nie tylko zbrodniarz zawodowy, ale i więźniowie z wysokim pochodzeniem i stanowiskiem w życiu na wolności.

W obozie były zupełnie inne warunki. Tam kradł wybitny działacz polityczny, książę, hrabia czy robotnik, ksiądz dziekan czy kanonik, profesor czy pułkownik. Tam szła ciężka, codzienna tragiczna walka o życie w nieznanych dotychczas nikomu warunkach.

I dzisiaj ci zaś, którzy tych warunków w obozie nie przeżywali, niech lepiej milczą, niech nie próbują sądzić tych, których ktoś lekkomyślnie oskarża.

W obozie w Gusen siedziało wielu prawników, sędziów i prokuratorów. Nie byli wcale lepsi. Kradli tam gdzie się coś ukraść dało, nie pytali nawet czy przez to zabiją kogoś z współrodaków. Walczyli — by żyć.

Zieloni

Niemieccy komuniści w Dachau byli niezwykle uprzedzeni do „zielonych", to jest więźniów kryminalnych. Gardzili nimi głosząc zasadę, że wszystkich „zielonych" przebywających w obozach koncentracyjnych trzeba zgodnie z zasadami hitlerowskimi wyniszczyć. „Zielonych" uważano za wyrzutki społeczeństwa pracującego. Trzeba jednak podkreślić, że w swojej nienawiści do „zielonych", czerwoni, rządzący obozem kierowali się uczuciem zemsty, za wyrządzone krzywdy. Bowiem przed „czerwonymi" rządy w Dachau sprawowali przez pewien czas „zieloni".

Gdy jednemu z „czerwonych" zarzucałem, że mordując więźnia „zielonego" postępuje wbrew głoszonej idei komunistycznej, odpowiedział mi:

— Nie masz pojęcia ilu naszych wartościowych towarzyszy zginęło z rąk tych oprawców. To zbrodniarze, którzy na wolności grabić i mordować będą tak samo, jak nas grabią i mordują tutaj. Poznasz ich jeszcze, gdy będziesz w Mauthausen albo Gusen.

My, Polacy, w obozie w Dachau korzystaliśmy z pewnych przywilejów. Nie bito nas i nie znęcano się nad nami tak, jak nad „zielonymi", „brunatnymi" i innymi Niemcami. Przyglądaliśmy się jednak scenom mordowania i katowania więźniów, poznając w ten sposów metody tak zwanego „wykańczania" ludzi, stosowane na „zielonych".

„Berufsverbrecher" — tak brzmiała ich nazwa oficjalna. Pod nazwą zawodowych zbrodniarzy rejestrowano ich we wszystkich księgach i kartotekach, pod taką nazwą meldować musieli się gdy stawali na wezwanie SS-ów.

W obozach koncentracyjnych obowiązywał bowiem przepis, że każdy więzień wezwany przez SS-mana, stawał przed nim na baczność i meldował się w przepisowej formie: przynależność do grupy więźniów, imię i nazwisko, numer i datę urodzenia. Brzmiało to następująco:

— Berufsverbrecherhäftlig, numer 43.020, Karl Schmidt, geboren 3. 4. 23, meldet sich gehorsamst zur Stelle" (Więzień zawodowy zbrodniarz, nr. 43.020, Karol Szmidt, urodzony 3 4. 23. melduje się posłusznie na miejscu).

„Zieloni", którzy w trójkącie nosili znak „M" do słów „zbrodniarz zawodowy", dodawać musieli i „morderca". Byli to tak zwani „dożywotniacy", których w roku 1943 przewieziono z więzień do obozów.

My „czerwoni" meldowaliśmy się jako „Schutzhäftlingi" (więźniowie dla ochrony) a od roku 1943 dodawaliśmy „Polacy". Francuzi, Rumuni, Węgrzy czy inni meldowali się podobnie podając swoją narodowość.

Z obozów koncentracyjnych rzadko kto wracał na wolność. Zwalniano tylko na pokaz, dla oszukania własnego społeczeń-

stwa, ba nawet własnej partii lub najwyższych czynników w państwie.

W obozach koncentracyjnych obowiązywały dwie teorie o ich zadaniach. Pierwsza — obliczona na eksport — mówiąca o przeszkoleniu więźniów na pożyteczne jednostki, druga — istotna i stosowana naprawdę — mówiąca tylko o wyniszczeniu (vernichten) i wyplenieniu (aurotten) wszystkich więźniów w obozach, jako ludzi szkodliwych, nie mogących powrócić do społeczeństwa.

Rozbieżności w zapatrywaniach na cele obozów koncnetracyjnych w trzeciej rzeszy istniały nawet w samej „górze" partii, pośród najwyższych władz SS i SA.

W obozach koncentracyjnych rządzili zwolennicy wyniszczenia wszystkich więźniów, więc konsekwentnie mordowali ich własnymi, wszelkich rodzajów metodami.

Konsekwentne „ausrotten" w stosunku do ludzi, których odseperowano od społeczeństwa hitlerowskiego i których powrót do tegoż społeczeństwa, według teorii Himlera, był wykluczony, rozpoczęło się od niemieckich komunistów w roku 1933. W ciągu pierwszych dwóch lat zginęło 90 proc. aresztowanych. Wówczas uznano akcję przeciwko komunistom niemieckim za zakończoną.

Z innymi przeciwnikami politycznymi postępowano podobnie.

W roku 1937, gdy przez wymordowanie komunistów niemieckich i innych przeciwników politycznych obozy koncentracyjne opustoszały, zabrano się do zapełnienia obozów ludźmi, z zapisaną kartą przestępstw kryminalnych. Podobnie jak komuniści niemieccy, wszyscy przestępcy kryminalni Trzeciej Rzeszy, mieli zostać odseperowani w obozach i wykończeni.

Zadanie to realizowano przez tak zwaną „akcję" (Aktion), którą przeprowadzono w roku 1937. Władze policyjne zestawiły spisy wszystkich osób, karanych kiedykolwiek za przestępstwa kryminalne. Gdy spisy były gotowe, na terenie całego państwa rozpoczęto obławy i w wyznaczonym terminie p. aresztowano kolejno wszystkich.

Urzędnicy, prowadzący ową akcję, nie wiedzieli, w jakim celu aresztują ludzi. Tłumaczyli, że prawdopodobnie chodzi o jakieś wyjaśnienie sprawy, że aresztowani będą za kilka godzin wolni...

Kogo w domu nie zastano, o tego nikt się już później nie troszczył. Pozostawał na wolności, tak długo, aż wpadł przy innej okazji.

Sprytniejsi kryminaliści, orientując się w teorii Himmlera, wstępowali szybko w szeregi SS albo SA, podając się za ofiary wychowania i warunków życiowych w poprzednim niemieckim ustroju społecznym. Przyjmowano ich chętnie.

Tak więc w obozach koncentracyjnych bardzo często spotykali się wspólnicy wypraw bandyckich w bardzo odmiennych sytuacjach, jeden był więźniem, skazanym w obozie na zagładę, drugi w mundurze SS-mana pilnował go i miał za zadanie „wykończyć" dawnego towarzysza.

Akcja przeciwko przestępcom kryminalnym zaprowadziła do obozów koncentracyjnych nie tylko tak zwanych notorycznych zbrodniarzy zawodowych, ale również złodziei — amatorów, którzy w młodych latach popełnili jakiś błąd a po odcierpieniu kary, powrócili na uczciwą drogę życia, zarabiając na utrzymanie pracą w fabrykach czy warsztatach.

Wydostać się z obozu można było tylko przy pomocy osób, przebywających na wolności. Starania o uwolnienie nie były łatwe, odnosiły skutek jedynie w pierwszych miesiącach pobytu więźnia w obozie.

Wychodzili na wolność zamożniejsi złodzieje i bandyci, których stać było na przekupienie urzędników policyjnych. Opuszczali obóz również konfidenci policji, których aresztowanie nastąpiło automatycznie. Tych wyciągali z obozów ich zwierzchnicy — urzędnicy policyjni.

Po akcji zbiorowej na przestępców kryminalnych, sprowadzano w terminach późniejszych z więzień i domów karnych dalszych „zielonych". Zależnie od humoru i zapatrywania urzędnika policji kryminalnej, przestępca, który odcierpiał karę w więzieniu lub domu karnym, wydostał się na wolność, albo też szedł do obozu koncentracyjnego na wyniszczenie. Zwykły urzędnik policyjny decydował o życiu ludzkim, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Urzędnik policyjny oceniał, czy przestępca po odcierpieniu kary sądowej w więzieniu lub domu karnym poprawił się tak dalece, że może być jednostką pożyteczną w społeczeństwie Trzeciej Rzeszy.

W obozach koncentracyjnych wśród „zielonych" byli ludzie różni. Dobrzy i źli. Zasadniczo nie różnili się wcale od niemieckich więźniów „czerwonych". Piętnowani przez sądy jako zawodowi zbrodniarze, postępowaniem swoim w obozie nie różnili się od więźniów, uchodzących na wolności za uczciwych obywateli. Zachowywali się tak samo jak robotnicy, urzędnicy, księża czy pracownicy. W tych warstwach społecznych mamy przecież też ludzi dobrych i złych, a zwyrodniałe jednostki znaleźć można zawsze i wszędzie.

W obozie w Gusen krwawych morderców mieliśmy tak wśród „zielonych" jak i „czerwonych". Może dziwnym zbiegiem okoliczności „czerwonych" było znacznie więcej. „Czerwonego van Loosena" oceniano, że zamordował własnoręcznie około 5 tysięcy ludzi; „czerwony" Schogler, blokowy 32 bloku zamordował ponad 2000 ludzi; komunista Roth w izbie chorych mordował setki ludzi przy pomocy strzykawki benzynowej; komunista Glas za swoje zbrodnie został zabity przez młodocianych więźniów ; „czerwony" Kammerer, pierwszy obozny w Gusen, zamordował ponad setkę ludzi.

Polacy mordowali także. Nazwiska Strońskiego, Otta, Zaparta, Jakubowskiego, Olejnika i innych, wryły się tragicznie w naszą pamięć, jako nazwiska morderców.

Mordowali również więźniowie i innych narodowości: Rosjanie, Francuzi, Łotysze i inni, zależnie od charakteru jednostki i sprawowanej funkcji.

SS-owcy wprowadzili w obozach taki system, że więźniowie wzajemnie się katowali i zabijali.

Byłem naocznym świadkiem licznych mordów, byłem zatem — w myśl prawa — współwinnym dokonanej zbrodni. Zdawałem sobie sprawę z tego, że prawo mogłoby mnie ścigać, lecz nigdy nie wierzyłem, by znalazł się prokurator, któryby miał odwagę z prawa takiego korzystać.

Innymi oczami trzeba dziś patrzeć na wykonawców krwawych zbrodni. Gdybym był sędzią — nie umiałbym ich sądzić poza obozem.

Z mordercami rozmawiałem przed, w czasie i po dokonaniu mordów. Chodziłem jak Dante po piekle: nie tylko widziałem i słyszałem dantejskie sceny, ale przede wszystkim starałem się zrozumieć postępowanie tych katów.

Tak, to oni byli tylko kaci, wykonujący zlecenie swoich zwierzchników — SS-owców, tak samo, jak kaci zawodowi wykonują zlecenia prokuratorów przy wyokach śmierci.

Niejeden z moich współtowarzyszy niedoli będzie temu przeczył, ale to kwestia zapatrywania. Przekonany bowiem jestem głęboko, że ci którzy w obozach koncentracyjnych mordowali, gdyby znaleźli się w innym otoczeniu, mieli inne warunki bytowania — byliby pożytecznymi jednostkami społeczeństwa. Nawet ów van Loosen, postrach wszystkich więźniów gusenowskich, mógł być pożytecznym ogółowi, gdyby nie warunki i stosunki, w jakich się znalazł.

Winne zbrodni są jedynie władze hitlerowskie, czynniki, które z perfidią stwarzały takie warunki wzajemnego mordowania się.

Wśród „zielonych" byli reprezentanci przestępcy wszystkich kategorii. Kieszonkowcy, kasiarze, oszuści, włamywacze, bandyci, mordercy, kłusownicy. Do „zielonych" zaliczano również karanych za kazirodztwo i inne zboczenia. Sądy rozpatrywały ich przestępstwa, wymierzały im kary; ludzie ci odcierpieli swoje kary w więzieniach. W obozie znajdowali się oficjalnie tylko dlatego, by nie stykali się ze „zdrowym" hitlerowskim społeczeństwem.

Nie ziściła się nadzieja hitlerowców, że dzięki ich systemowi ludzkość na zawsze uwolniona zostanie od świata przestępczego. Wszyscy przestępcy mieli zginąć w obozach. Lecz i dla nich otwarły się bramy obozów: nawet skazani na dożywotnie więzienia, odzyskali wolność. Są na wolności, ale drżą o swój los, nie wiedząc, jakie stanowisko zajmą wobec nich nowe władze. Czy będą znów prześladowani za błędy, które dawno już odpokutowali? Czy nowe władze bezpieczeństwa odosobnią ich w obozach, będą rejestrować w specjalnych albumach i utrudniać bytowanie?

Jak na sprawę więźniów „zielonych" czyli zawodowych zbrodniarzy zapatrywali się inni więźniowie świadczy następujący fakt:

W obozie naszym funkcje obozowego przez cztery lata pełnił Karol Rohrbacher z Wiednia, król międzynarodowych kasiarzy. Pół roku przed odzyskaniem wolności został zdegradowany i pracował jako „kapo" w zakładach zbrojeniowych Steyera.

Gdy dnia 5 maja 1945 odzyskaliśmy wolność i większość funkcjonariuszy samorządu obozowego ukrywała się przed zemstą dręczonych i męczonych przez nich więźniów, Karol Rohrbacher, pochwycony został przez oszalały z radości tłum i noszony na rękach wśród okrzyków „niech żyje". A w tym samym czasie jego współpracowników tłum więźniów mordował.

Rohrbacher wybrany został też przewodniczącym austriackiego komitetu byłych więźniów, a polscy oficerowie, profesorowie, dyrektorzy i inni z prawicy skupili się dookoła niego, uznając go naczelnym „wodzem" b. więźniów.

Podobne uznanie opinii byłych więźniów wyrażono Rudolfowi Meixnerowi, w którego aktach zapisano, że był niepoprawnym oszustem matrymonialnym, kilkakrotnie odsiadywał karę w zakładach karnych.

Franciszkowi Leonhardowi, międzynarodowemu oszustowi, również karanemu kilkakrotnie.

Cihalowi, Loeschlowi, Vertecznikowi, Maksowi Słoninie i wielu innym „zielonym", ludziom piętnowanym jako niepoprawni zbrodniarze.

Różnokolorowi

Poza „czerwonymi" i „zielonymi", mieliśmy jeszcze więźniów: czarnych, różowych, fioletowych, niebieskich i gwiaździstych. Każdy kolor oznaczał rodzaj więźnia. Tak samo jak czerwoni na swoich różnokolorowych trójkątach, począwszy od roku 1943, nosili początkowo litery nazwy ich narodowości.

Charakterystyczny był fakt, że każda grupa więźniów była dumna ze swego trójkątnego znaku kolorowego, za wyjątkiem „różowych", wszyscy inni szerzyli kult honorowania tych znaków.

„Czarni" zapisani byli w księgach obozowych i biurach SS, jako „AZR", (element asocjalny, destruktywny dla którego w społeczeństwie hitlerowskim nie było miejsca).

Do roku 1940 grupa ta dzieliła się na dwa odłamy i różniła się w kolorowych trójkątach. Większość tej grupy nosiła trójkąty koloru brunatnego. Mniejsza grupa miała trójkąty czarne z białą obwódką.

Różnica polegała na tym, że brunatnych zamykała w obozie policja państwowa na koszt państwa, zaś „czarnych" zlecenia do osadzenia w obozie koncentracyjnym dawały władze komunalne, na koszt gminy. Przyczem policja państwowa zamykała wszystkich, bezterminowo, zaś władze komunalne miały prawo oddać więźnia do obozu koncentracyjnego tylko na okres jednego roku.

W roku 1940 zniesiono kategorię więźniów komunalnych. Wszystkich asocjalnych uznano za więźniów państwowych i zaprowadzono dla nich trójkąt czarny.

Około 80 procent tej kategorii więźniów stanowili cyganie różnych narodowości. Pozatem dostali się do obozu z czarnym trójkątem wszyscy ci którzy uchylali się od pracy.

Wystarczyło, że ktoś do pracy się spóźnił, naraził się majstrowi albo innym władcy. Zażalenie na niego do władz policyjnych, że jest leniwy, wystarczyło, by go aresztować i zamknąć w obozie.

Rodzinie mówiono, że oddany został na krótkie przeszkolenie, by nauczył się pracować.

Jako „czarnych" zamykano w obozie również pijaków i awanturników. Wielu z nich siedziało w obozie za to, że skarżyły się na nich żony ich u władz policyjnych. Daremne były później starania tych żon, by mężów z obozów koncentracyjnych wy-

dostać. Nikły procent zwolniono. Reszta, tak jak w innych kategoriach więźniów skazana była na zagładę.

„Czerwoni" uważali „czarnych" tak samo jak „zielonych" za element bezwartościowy.

Pijacy, awanturnicy, łaziki i cyganie zawsze będą plagą ludzkości, trzeba ich wszystkich wyniszczyć! — powtarzali za SS-ami siejącymi nienawiść wśród ugrupowań więźniów.

Oficerowie i podoficerowie SS często szczuli jedną grupę więźniów przeciwko drugiej i często też zmieniali rządy autonomiczne więźniów, dając władzę raz „czerwonym" drugi raz „zielonym" i „czarnym".

Mianując „czerwonych" starszymi obozu, bloków, kapami szczuli ich przeciwko „zielonym" zbrodniarzom i „czarnym" pijakom i awanturnikom mówiąc do nich obłudnie:

Wy komuniści cierpicie w obozach koncentracyjnych niewinnie, za wasze przekonanie. Ale tamci „zieloni" i „czarni", to największe wyrzutki społeczeństwa. Nie powinniście mieć nad nimi krzty litości. Ci wszyscy powinni zginąć, bo przecież i w państwie komunistycznym byliby ciężarem społeczeństwa.

„Czerwoni" tak podjudzeni obarczali „zielonych" i „czarnych" najgorszymi pracami nieszczędząc pałek, węży gumowych i innych środków do bicia i znęcania się nad nimi.

W Dachau byłem świadkiem, jak „czerwony" kapo Jaziak z Gliwic, ciężką pałką bił leżącego na ziemi „brunatnego" więźnia. Bił go tak niemiłosiernie po głowie, że nie ulegało wątpliwości, że pragnie go zabić.

Przecież mnie zabijesz! wołał nieszczęśliwy „brunatny".

— To jest właśnie celem sprawy (Das ist der Zweck der Sache) odpowiedział cynicznie smiejący się Jaziak, dobijając nieszczęśliwego.

Tego samego Jaziaka spotkałem w kilka dni później w Gusen. Miał wówczas trójkąt „czarny" i jako „czarny" mordował „czerwonych".

Gdy „zieloni" i „czarni" zostali blokowymi i kapami wówczas mówiono do nich:

Macie okazję pomścić krzywdy, wyrządzane wam przez tę bandę czerwonych komunistów. Wy macie jeszcze nadzieje odzyskania wolności. Wszystko to zależy od waszego sprawowania się. Żaden z „czerwonych" jednak z obozu nie wyjdzie. Wszyscy muszą zginąć. Ci „czerwoni" to zdrajcy kraju i oni tylko są winni, że siedzicie w obozach. Te obozy stworzono tylko dla nich a teraz i was zamknięto, zupełnie niewinnie.

Po takich przemowach, nowe rządy „zielonych" i „czarnych", krwawo znaczyły swój ślad. Tym bardziej odczuli to „czerwoni", że na czołowe stanowiska administracyjne i kierownictwa robót, mianowano tendencyjnie najgłupszych ludzi. Wielu takich którzy czytać i pisać nie potrafili.

Te walki i mordowanie się wzajemnie „zielonych" i „czarnych" z „czerwonymi" ustały po latach, gdy, obie strony spostrzegły, że są tylko narzędziem w rękach SS-ów. Pod koniec naszego pobytu w obozie nie przywiązywano już żadnego znaczenia do koloru trójkąta.

Czwarty rodzaj więźniów , to „różowy", sprowadzeni jako przestępcy z paragrafu 175, homoseksualiści. W obozie w Gusen było ich około 60-ciu. Dużo zginęło i w innych obozach.

Wstydzili się swego koloru, zamiast „różowych" nosili „czerwone trójkąty. Byli skromni, nieśmiali. Naogół więźniowie nimi pogardzali i na każdym kroku ośmieszali. Były to nieszczęśliwe istoty, przez naturę albo też przez ludzi zdeprawowane.

Jeden z nich żalił mi się kiedyś:

Cóż ja na to poradzę, wcale nie jestem mężczyzna, jestem poprostu kobieta.

Faktycznie głos i zachowanie jego było całkowicie kobiece.

Bardzo bojaźliwi, wystrzegali się uprawiania homoseksualizmu na terenie obozu.

A tymczasem „blokowi", „kapowie", „szrajbry" i inne „prominenty" homoseksualizm uprawiali nagminnie. Wykorzystując swoje wpływowe stanowisko i stosując przymus zmuszali młodzież do uległości.

Około 70 procent blokowych i kapów miało swoich ulubionych chłopców. To jest różne„ Zosie" i „Marysie" były przez swych kochanków tak samo uwielbiane, jak prawdziwie Zosie i Marysie przez swoich najdroższych na wolności.

Kochanek blokowego wzgl. kapy nie musiał pracować, ubrany był w najlepsze rzeczy, otrzymywał różne smakołyki, posiadał zegarki, pierścienie i inne cenne rzeczy.

„Panny te dawały się więźniom nieraz we znaki. Przyjmowały one na siebie obowiązki „sztubendienstów" (służba pokojowa) albo „szwungów", ordynansów przy blokowych, pisarzach. Takie stanowiska upoważniały ich do bicia i znęcania się nad swoimi współtowarzyszami niedoli.

Władzom SS stosunki seksualne, panujące w obozie, były dobrze znane. Kilka afer zakończyło się ukaraniem winnych. Naogół jednak oficjalnie starano się nie wnikać w życie intymu więźniów. Tolerowano nadużycia blokowych i kapów, którzy deprawowali młodzież. Często blokführerzy SS, sami brali udział w wyuzdanych orgiach, urządzanych w „kapufach" (pokoikach blokowych) albo w biurach „kapów".

Do piątej kategorji więźniów zaliczyć możemy „Bibelforszerów" (badacze pisma świętego), do których zaliczano również sekciarzy „Baptystów". Nosili oni trójkąt fioletowy.

W pierwszych latach byli oni w obozach okropnie prześladowani, wielu z nich zginęło straszną męczeńską śmiercią. Gdy wybuchła wojna z Polską, wielu rozstrzelano. Bowiem fioletowi zgodnie z zasadami ich religii, odmówili pełnienia służby wojskowej. Pozostałych zaprzęgnięto do najgorszych robót. Obiecano im jednakże wolność, o ile który zdecyduje się porzucić zasady nie brania do ręki broni.

Lecz „Bibelforszerzy" twardo stali przy swojej wierze. Puźniej dano im spokój. Byli niezwykle pracowici, uprzejmi i grzeczni, tak, że zjednali sobie sympatie wszystkich współtowarzyszy niedoli. Była to jedyna grupa więźniów, która systematycznie prowadziła zebrania i pogadanki, kpiąc z wszelkiego niebezpieczeństwa. Rozwijała agitację religijną również wśród innych więźniów — jednak bez skutku. Ogół bowiem uważał „Bibilforszerów". za ludzi pomylonych.

Grupę fioletową cechowała niezwykła solidarność i karność. Pomagali sobie wzajemnie, dzieląc się każdym kawałkiem chleba i odrobiną zupy. Gdy który z nich otrzymał paczkę z domu, stawała się ona własnością ogółu „Bibelforszerów".

Panowała wśród nich surowa dyscyplina, którą ilustruje następujący wypadek.

„Bibelforszer" Marcin Meilinger, który był kapo szewców w warsztatach SS, w czasie pracy uniósł się gniewem i ręką uderzył podwładnego mu więźnia Polaka. Polacy, a także i sam pobity, wkrótce zapomnieli o incydencie i do Meilingera nie mieli najmniejszego żalu. Takie drobnostki zdarzały się codziennie, więc szybko o nich zapominano.

Inaczej jednak zapatrywali się na całą sprawę „Bibelforszerzy". Meilinger stał się w ich oczach odstępcą wiary: wyrzucili go ze swojego grona i bojkotowali na każdym kroku. Nikt z „Bibelforszerów" z nim nie rozmawiał.

W dniu 5 maja 1945, gdy wszyscy Niemcy z obozu w Gusen zbiegli pozostali w obozie tylko „Bibelforserzy". Było ich 54. Niewzywani pracowali w dni następne nad uporządkowaniem obozu. Pracowali po 14 godzin na dobę, chociaż ich proszono, by się oszczędzali.

Wśród nich było 5 Polaków i 1 Czech. Reszta Niemcy. Ludzie ci nie uznawali zasad narodowości.

Ostatnia grupa więźniów kolorowych, to mało znani „niebiescy". Było ich w Gusen tylko kilku Niemców i dwóch Żydów. Byli to t. zw. „emigranci". Aresztowani poza granicami III Rzeszy, we Francji, Hiszpanii, Włoszech, sprowadzeni zostali do kraju i zamknięci w obozie. Grzechem ich było to, że jako Niemcy, żyjący poza granicami Niemiec nie przystąpili do organizacji hitlerowskich i nie współpracowali z władzami hitlerowskimi.

Jeden z nich opowiadał mi o swoim aresztowaniu w ten sposób:

Mieszkałem w Hiszpanii ponad 20 lat. Powodziło mi się dobrze, miałem własną willę, samochód, służbę, słowem wszystko.

W roku 1938 zwrócili się do mnie bym przystąpił do organizacji hitlerowskiej. Odpowiedziałem, że chętnie będę płacić składki, ale nie mam czasu ani ochoty uczestniczyć w zebraniach i t. p. historiach. To im nie wystarczyło: nasyłali mi stale różne pisma, że mam się stawić do takiego czy innego dygnitarza hitlerowskiego. Ignorowałem ja w przekonaniu, że przecież nic mi nie zrobią. Myliłem się. Pewnego dnia aresztowała mnie policja hiszpańska i odstawiła do aresztu policyjnego w Sewilli. Tegoż samego dnia zjawiło się dwóch agentów Gestapo, przenieśli mnie na lotnisko, stąd samolotem do Stuttgartu, tam bowiem był specjalny obóz dla emigrantów. Ze Stuttgartu dostałem się tutaj... W mojej rodzinie nikt nie wie, co się ze mną stało.

Więzeń ów, Wilhelm Knopf, dość długo bawił w Gusen. Później przeniesiono go do Mauthausen.

Historia innych „niebieskich" więźniów była podobną. Wszyscy oni zostali wykończeni już w roku 1944, kiedy jeden z nich, Wunder, usiłował zbiec z obozu. Emigranci czyli „niebiescy" przestali wówczas istnieć.

Raportführerzy

Prawą ręką „lagerführera" był „raportführer" odpowiedzialny za stan obozu i za porządek w obozie.

„Raportführerowi" podlegali wszyscy „blokführerzy", on im wyznaczał służbę w obozie. Sam kontrolował porządek na blokach, przeprowadzał, względnie zarządzał rewizje. Do jego czynności należało także mianowanie pisarzy. Osobiście nie wiele miał pracy, podobnie jak wszyscy inni funkjonariusze SS w obozach. Wszystko, co było potrzeba, zrobili więźniowie, a taki „raportführer" kładł tylko swój podpis. Najważniejszą czynnością jego było przeprowadzenie apelu. Do roku 1943 mieliśmy apele trzy razy dziennie, gdy zaszła jaka omyłka — cztery i pięć razy stawaliśmy na placu.

Apel musiał się zgadzać. Biada, gdy kto się spóźnił, jeszcze gorzej — gdy kogoś wogóle zabrakło.

W tym, by apel się zgadzał, zainteresowani byli wszyscy więźniowie oraz i wszyscy żołnierze SS.

W roku 1940 przed apelem panowało ogólne zdenerwowanie, ogarniał wszystkich paniczny lęk. Każdego prześladowała myśl: czy apel odbędzie się w porządku? Zdarzało się, że apel się nie zgadzał. Gdzieś ktoś jeszcze pracował, gdzieś ktoś zasnął, albo ukrył się, by zbiec.

Skutki takich uchybień przy apelu były straszne. Władze SS stosowały specjalny system terroru, który uchybienia przy apelach ograniczał do minimum. System ten poznaliśmy szczegółowo w ostatnich dniach lipca 1940 roku. Dnia 29 lipca 1940 r. wieczorny apel się nie zgadzał. Blok 17 meldował brak jednego więźnia, niejakiego Józefa Nowaka. Ci, którzy go znali opowiadali, że poprzedniego dnia Nowak otrzymał list, z którego dowiedział się o śmierci żony. Wiadomość ta bardzo go zgnębiła, rzekomo nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Przed apelem widziano Nowaka w godzinach popołudniowych, pracował w grupie murarzy przy budowie fundamentów pod nowe baraki dla SS-ów. Grupa blokowych i kapów, wraz z blokführerami i komandoführerami, przeszukiwała wszystkie kąty i zakamarki, by odszukać Nowaka. Jednak bezskutecznie. Mijały godziny, Nowaka nie było, a my staliśmy wciąż na placu, głodni, śmiertelnie zmęczeni po całodziennej pracy. Noc już zapadła, a my staliśmy dalej.

Lagerführer Chmielewski wraz z podoficerami i żołnierzami w tym czasie przebywał w kantynie, pijąc do nieprzy-

tomności. Na placu słyszeliśmy wrzaski stamtąd dochodzące. Około północy zjawili się na placu apelowym pijani blokführerzy z bykowcami lub grubymi pałkami w ręku. Podchodzili do wciąż jeszcze stojących na placu więźniów i bez przyczyny walili po twarzy, po głowie, po plecach — gdzie trafili. Bili z pierwszych szeregów, potem z ostatnich, potem ze środka, tak, jak im się chciało. Przed biciem nie można było się uchronić. Instynktownie tylko uchylano się, by zadawany cios złagodzić. Gorzej było, gdy pijany blokführer zachodził od tyłu i bił po głowie i plecach. Blok 300 ludzi, ustawiony w dziesiątkach, trzymał się w zwartej masie. Wszyscy słysząc trzask uderzenia, nie wiedzieli, czy następny cios na nich nie padnie. Zwarta masa więźniów falowała pod razami jak woda na morzu.

Zmęczeni biciem SS-owcy wędrowli znowu do kantyny, by tam zaczerpnąć nowych sił. Więźniowie odpoczynku nie zaznał — SS-mani zmieniali się stale.

Około godziny 2-giej w nocy na plac apelowy przyszedł „lagerführer" Chmielewski, w towarzystwie całej swojej sfory, około 20 osób. Wszyscy byli porządnie pijani.

— No, teraz damy im porządną szkołę, by na przyszłość odeszła im ochota do ucieczki — mówił pijany Chmielewski.

Rozkazał obozowemu Kammererowi przynieść kozioł. Kozioł ustawiono na środku placu, między blokami. Od kozła byłem oddalony zaledwie pięć kroków, cały czas przyglądałem się z bliska zabawie, jaką tam urządzono.

Na kozioł kładziono jednego więźnia po drugim. Chmielewski zapowiedział, że wszyscy więźniowie otrzymają po 50 batów. Było nas około 6000 ludzi, czyli, że wszyscy i tak chłosty otrzymać nie mogą. Katami byli podoficerowie i żołnierze SS. Gdy jeden się zmęczył, zastępował go drugi. Ofiary na kozioł podprowadzał Kammerer, przy pomocy blokowych i pisarzy. Wkrótce cały kozioł ociekał krwią, na ziemi utworzyła się olbrzymia kałuża. Bici więźniowie musieli głośno liczyć uderzenia. Bito ich nie tylko po siedzeniu, ale po głowie i po plecach.

Na kozioł prowadzono Kazimierza Zmyślińskiego, jednego z starszych wiekiem więźniów, pomocnika pisarza Hauga z bloku 4-go. Zmyśliński zaczął liczyć. Kiedy doszedł do 10, kazano mu liczyć naodwrót, aż do zera.

— Pół zera, ćwierć zera! — podsuwał wśród ogólnego śmiechu bandy zbirów Chmielewski.

Zmyśliński powtarzał za każdym uderzeniem tak, jak Chmielewski Karl dyktował. W głosie katowanego nie można było wyczuć bólu i cierpienia. A to właśnie doprowadzało jego oprawców do szalonej pasji. Zmieniali się kolejno, nie mieli ochoty wypuścić ofiary.

Zmyśliński dostał razem 146 batów. Zdjęli go z kozła i rzucili na ziemię nieprzytomnego. Przypuszczano ogólnie, że nie żyje. Przyszedł jednak do siebie, dzięki troskliwej opiece Hauga innych współtowarzyszy niedoli.

Wyleczył się też z zadanych ran ksiądz Masny, który tej pamiętnej nocy dostał również ponad 100 batów. Wielu jednak zmarło wskutek odniesionych ran. Odbito im nerki, pokaleczono lub rozbito głowę.

Owej nocy miał miejsce charakterystyczny wypadek. Pijany do nieprzytomności młody raportführer Streitwieser zupełnie niespodziewanie stanął w obronie więźniów.

Chmielewski, jako przełożony, dał mu rozkaz bicia więźniów. Tamten zaprotestował: — Ani mi się śni! Ja ich katować nie będę.

Stanął przy kozle i zaczął przeszkadzać blokführerowi oraz Chmielewskiemu w wymierzaniu ciosów. Odsuwano go gwałtem...

Gdy na kozle leżał Tymieniecki, doszło do zajścia. Chmielewski bił go bykowcem po głowie i karku, w pewnej chwili Streitwieser położył rękę na karku Tymienieckiego; zabierz rękę, bo uderzę! — wrzasnął Chmielewski.

Streitwieser ręki nie usunął. Cios, jaki otrzymał, był dość nieszczęśliwy, ponad 6 tygodni Streitwieser nosił rękę na temblaku.

Wskutek incydentu Chmielewskiego z Streitwieserem, zaprzestano dalszego katowania więźniów. Nadmienić wypada, że po trzeźwemu Streitwieser nie był wcale taki wspaniałomyślny. Bił i mordował jak wszyscy inni. Tylko po pijanemu okazał się... człowiekiem.

Męczarnie nasze z powodu ucieczki Nowaka nie skończyły się na tym. Staliśmy w dalszym ciągu na placu apelowym, nikomu nie wolno było się ruszyć.

O godzinie 6-ej rano dano rozkaz sformowania komendy pracy, wszyscy udali się do roboty.

Straszny to był dzień. SS-owcy, pełniący straż przez całą noc, stali na posterunkach i nie byli zluzowani. Stali dzień i następne przez trzy doby bez posiłku. Nic więc dziwnego, że

wściekli byli na więźniów. Gdy tylko, który zbliżył się do łańcucha straży, bez pardonu strzelali.

Znęcali się też nad więźniami wszyscy podoficerowie i żołnierze SS: bili bez przyczyny, wywierając na nich swoją złość za to, że przez trzy dni wstrzymano im urlopy i obciążono dodatkową pracą.

Mordowali i znęcali się nad więźniami wszyscy kapowie i blokowi, którym znów dokuczali SS-mani, zarzucając złą dyscyplinę w obozie, niedopilnowanie, a nawet pomoc w ucieczce. Cały dzień następny trzymano nas o głodzie, chociaż obiady gotowano, a chleb i kiełbasę rozdzielono na bloki.

Już drugi dzień po pracy staliśmy w nocy na placu apelowym. Mieliśmy stać całą noc, szykanowani przez kapów i blokowych. O godzinie 22-giej pozwolono nam wspaniałomyślnie iść na bloki.

Kilka dni później schwytano Nowaka, ubranego już po cywilnemu, 40 km. od Gusen. Wyjaśnił, że ukrył się pod schodami jednego z nowobudujących się baraków, zamurowawszy wejście do swojej kryjówki. Po trzech dniach, gdy posterunki normalnie zeszły z placówek, rozbił zamurowane przejście i umykał na wschód. Przychwycony został przez żandarma w pewnej wiosce, gdzie prosił o pożywienie.

Przez cały dzień stał zbieg przed „Schuhhausem" na stołku, by każdy mógł go widzieć. Przed nim umieszczono olbrzymi plakat z napisem:

— „Ha, ha, ha, ich bin wieder da". (Ha, ha, ha, jestem znowu tu!)

Tego samego dnia wywieźli go do Mauthausen, gdzie po kilku dniach zmarł.

Pierwszymi raportführerami w Gusen byli: Isenberg i Streitwieser. Urzędowali do końca 1940 roku. Tak jeden jak i drugi kazali usłużnym kapom i blokowym zabić masę ludzi. Po nich przyszli Brust, Gagstetter, Knogl, urzędujący na zmianę w latach 1941-42. Ci wszyscy trzej obdarzali mnie specjalnymi względami i zaufaniem. Nie kryli przede mną nienawiści do swoich przełożonych i do noszonego przez nich munduru SS i przeklinali chwilę, gdy wstąpili do tej organizacji. Już w roku 1941, gdy armia niemiecka stała u szczytu chwały, ci trzej raportführerzy, a także i inni podoficerowie SS, zwątpili w ostateczne zwycięstwo Niemiec. Mówili często i głośno o tym, że wojna zakończy się katastrofą i wytępieniem wszystkich SS-ów.

Po pijanemu rozumowali jednak tak, jak wszyscy Niemcy: przed ich śmiercią każdy z nich ma obowiązek wytępić jak najwięcej przeciwników. Przeciwnikami tymi byli więźniowie, zamknięci w obozach koncentracyjnych.

Nie zauważyłem jednak, by kto z tej trójki mordował z własnej inicjatywy. Mordowali wówczas dopiero, gdy im Chmielewski lub Seidler kazał. Przeważnie zabijali w ten sposób, że wieszali nieszczęśnika na belce i bili tak długo, aż zabili.

Po trzeźwemu wstydzili się tych zbrodni przed więźniami, z którymi żyli w dobrych stosunkach.

Jesienią i zimą 1941 r. mordowano więźniów masowo pod prysznicem na dworze. Przy takim masowym mordowaniu rozgrywały się dantejskie sceny. Płacz, jęk, modły i nabożne pieśni zlewały się z krzykiem blokowych i naganiaczy. Pałkami i żelaznymi drągami napędzano ofiary pod mroźne strumienia wody. Przeraźliwy krzyk był straszniejszy od ryku zarzynanych zwierząt.

Inicjatorem tego masowego mordu pod strumieniami wody był hauptschaarführer Jentsch, przezywany przez więźniów „bademajstrem". Ów Jentsch chąc przypodobać się komendantowi Ziereisowi oraz Chmielewskiemu obiecał, że powiększy stan zmarłych do 100—200 ludzi dziennie.

Gdy pierwszy raz zarządził kąpanie inwalidów, nikt z więźniów nie domyślił się jego szatańskiego planu. Dopiero gdy zamiast kilkuminutowej kąpieli, zabawa przeciągnęła się do godziny, skutki jej stały się widoczne. Ludzie padali jak muchy.

Gdy zapowiadana była kąpiel, więźniowie tłumnie wyskakiwali przez okna. W ciągu jednego miesiąca pisarz 32 bloku, Zdzisław Rakowski, zapisał 834 wypadki śmierci. Blok był zawsze pełen, gdy jedni umierali, przysyłano nowych kandydatów na śmierć.

W mordowaniu więźniów pod mroźnym prysznicem, brali udział również różni SS-mani, urządzając sobie wraz z kapami i blokowymi zabawę. Pewnego dnia przyszedł tam również z oberschaarführerem Fasslerem, raportführer Brust. Obaj zabawiali się w ten sposób, że topili Żydów w sadzawce, na środku hali kąpielowej.

Przypadkowo obok miejsca zbrodni przechodził pisarz obozowy, Rudi Meixner, żyjący z Brustem w bardzo dobrych stosunkach. Meixner wracał z izby chorych, gdzie uraczono go

alkoholem tak, że był pod dobrą datą. Widząc Brusta przy topieniu więźniów, Meixner podszedł do niego, pociągnął za rękaw i wobec więźniów i SS-manów zaczął mu urągać:

— Czyż wy, panie raportführer, nie wstydzicie się? Wy tutaj, wśród tej bandy morderców? Zawsze uważałem was za człowieka inteligentnego, z charakterem! Czy bym się mylił? To i wy należycie do tych sadystów?

Więźniowie i SS-owcy, świadkowie niezwykle śmiałego wystąpienia Meixnera, byli przekonani, że Brust wyjmie rewolwer i na miejscu zastrzeli śmiałka.

Tymczasem Brust stał przed Meixnerem jak strofowane dziecko, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Meixner wziął go pod rękę i stawiającego lekki opór odprowadził, prawiąc mu po drodze morały o sumieniu ludzkim, o uczciwej żonie i dzieciach.

Po kilku miesiącach dowiedział się o tej całej historii Ziereis. Brust poszedł na front, gdzie został ranny w prawe ramię, Meixner przeniesiony został do obozu w Mauthausen jako zwykły więzień.

Krótki czas w roku 1940 raportführerem był niejaki Voltl. Dostał się on do aresztu za to, że od więźnia przyjął w podarku teczkę skórzaną. Zdradził go drugi SS-man, jego podwładny.

Raportführerem był krótko Renlein. Do sadydystycznych morderców należał raportführer, a później komandoführer Jörgl. Musiał on codziennie przynajmniej jednego z więźniów zamordować, by zadowolić zboczone zmysły. Prowadząc komendę pracy w Sant Georgen, w podstępny sposób posyłał ludzi za łańcuch posterunków i strzelał do nich jak do zajęcy. 14. 7. 1942 zastrzelił w ten sposób Juliana Drygalskiego, właściciela księgarni w Paryżu. 10. 9. 1942 nie mógł znaleść kandydata, któryby poszedł za pas graniczny, mimo szykan i terroru, jaki stosował. W końcu zgłosił się dobrowolnie Adam Wach, urodzony 5. 9. 1919.

— Ja, panie komandoführerze, pójdę za łańcuch posterunków, tylko jestem strasznie głodny. Przynajmniej raz jeden chciałbym najeść się do syta gruszek.

Gruszki rosły niedaleko. Jörgl uśmiechnął się złośliwie.

— Dobrze, możesz się najeść gruszek. Właź na drzewo. Ale potem pójdziesz za łańcuch posterunków — zapowiedział stanowczo.

Wach zapewnił, że dotrzyma obietnicy. Z radosnym uśmiechem wdrapał się na drzewo, zrywając soczyste gruszki i zjadając je ze smakiem. Towarzysze patrzyli nań z przerażeniem. Wach jadł i napychał kieszenie. Biesiada trwała blisko godzinę. Jörgl, rozbawiony dziwnym zachowaniem się więźnia, zachęca go do dalszej uczty. Wreszcie nadeszła oczekiwana chwila. Chłopak zszedł z drzewa. Smutnym choć zadowolonym wzrokiem spoglądał na swoich współtowarzyszy niedoli. Uśmiechając się, szedł w kierunku, gdzie stały posterunki.

Jörgl śledził każdy jego krok z przygotowanym do strzału rewolwerem. Był dobrym strzelcem, gdy Wach znalazł się o 3 metry za linią posterunków, celnym strzałem w słowę zabił go na miejcu.

Jedynym raportführerm w obozie w Gusen, który nie splamił się krwią więźniów, był niejaki Damaszke. Mówiono o nim, że dawniej urzędował w obozie pod Strzelnem, w Szczytnie, gdzie tak samo jak inni mordował więźniów. Pochodzić miał z okolic Strzelna i znał dobrze język polski. W Gusen urzędował krótko, od grudnia 1942 do marca 1943 roku. Po nim raportführerami byli Bendel, który pod koniec wojny był raportführerem w obozie Gusen II, Pristerberger, Wiedeńczyk, którego przezwaliśmy „Kaczanoga", i ostatni oberschaarführer Kilermann. Ten trząsł się przed Seidlerem i... swoją żoną. Wykonywał wszystkie zbrodnie, nakazane przez Seidlera. Osobiście zastrzelił około 50 więźniów, a dał rozkaz podwładnym mu katom.więźniom, wymordowania kilku tysięcy ludzi. Pochodził z Kaiserlautern, po zbombardowaniu jego mieszkania, sprowadził żonę do St. Georgen. Żona jego była dobrą kobietą, pojęcia nie miała o zbrodniach w obozach. Kilerman udawał przed żoną „świętoszka", broniąc się przed jej zarzutami świadectwem więźniów, że jest dla więźniów sprawiedliwym i dobrym człowiekiem.

W dniu 5 maja 1945 widziano go, jak maszerował w szeregach niemieckich jeńców wojennych do amerykańskiej niewoli w Linzu.

Postrach Gusen

Do najokrutniejszych morderców w obozie należał więzień polityczny, „czerwony", Niemiec o nazwisku holenderskim, van Loosen. Nazwisko to znane jest wszystkim b. więźniom obozu gusenowskiego. Każdy z nich potwierdzi, że van Loosen wymordował własnoręcznie kilka tysięcy więźniów. Funkcjonował on w Gusen w okresie 5 lat: od 1940 do 1945 roku.

Poznałem go zaraz w pierwszym dniu pobytu w Gusen. Był „sztubowym" na bloku 4-tym, skrzydło B. W pierwszych dniach naszego pobytu w obozie van Loosen nie wyróżniał się specjalnie Zachowywał się wobec nas jak każdy inny Niemiec: nie bił, ani też nikogo nie mordował.

W dniu 6 czerwca 1940 r. przybył do Gusen drugi transport więźniów-Polaków z obozu w Dachau. Więźniowie ci, wyjątkowo posiadali przy sobie pieniądze, zegarki i pierścionki, które nam, więźniom z pierwszego transportu odebrano „na przechowanie". Więźniowie niemieccy, pełniący funkcje blokowych, pisarzy i sztubowych, spostrzegłszy u Polaków cenne przedmioty, wściekli się: starali się za wszelką cenę zdobyć złoto. Van Loosen również do nich należał. W tym celu utworzył spółkę z pisarzem na bloku 5-tym, Niemcem „zielonym" Wochnikiem i obaj zaczęli okradać nowoprzybyłych.

Rabunku dokonywali głównie na ulicy między blokami 4-tym a 5-tym: zatrzymywali Polaków kierowanych na blok 13-ty, przeprowadzali rewizje ich kieszeni i cenne przedmioty przywłaszczali sobie. Kto protestował — był zbity do krwi.

Jeden z więźniów, obrabowany w ten sposób przez van Loosena, zwrócił się do „raportführera" Streitwiesera z zażaleniem, że odebrano mu zegarek. Streitwieser znał bandyckie metody swoich więźniów funkcjunariuszy. Tolerował te kradzieże metodą SS-ów, oficjalnie nic o nich nie wiedział. Z chwilą jednak, gdy poszkodowany zwrócił się do niego ze skargą, że został okradzony, Streitwieser był zmuszony zareagować.

Polecił zwołać na plac apelowy wszystkich blokowych, pisarzy oraz sztubowych, wezwał poszkodowanego, by ten wskazał sprawcę rabunku. Na ową zbiórkę musiałem się stawić i ja wraz z Karlikiem, Cofałą i Martinowskim. Byliśmy już wówczas pisarzami na blokach. Lecz van Loosena wśród nas nie było; wiedział doskonale, po co Streitwieser na zwołuje, ukrył się więc na bloku, udając chorego.

Nic dziwnego, że poszkodowany, przyglądając się nam, nie mógł wskazać na sprawcę kradzieży.

Streitwieser, spojrzał na zegarek, uśmiechnął się złośliwie i powiedział:

— Daję wam 5 minut czasu. Zegarek musi być oddany !

Po tym wezwaniu odwrócił się i odszedł, pozostawiając nam swobodę naradzenia się.

Obóźny Kammerer, stojący razem z nami wszeregach, począł zaklinać wszystkich, by zegarek oddano. Kilku blokowych

i pisarzy też nawoływało do oddania zegarka zapowiadając, że Streitwieser jest uparty i nie pofolguje nam aż zegarek się znajdzie.

Spoglądaliśmy jeden na drugiego bezradnie. Poza Wochnikiem nikt nie wiedział, kto zabrał zegarek. Nie szczędzono już i pogróżek pod adresem Polaka, który się poskarżył. Pisarz Madlmayer i sztubowy Damm z 13-bloku oświadczyli, że jeszcze tej nocy go „wykończą".

Po 5 minutach Streitwieser powrócił:

— No i co? Jest zegarek? Namyśliliście się?

Obóźny Kammerer zaczął tłumaczyć, że nikt o żadnym zegarku nie wie, oskarżył nawet owego Polaka o fałszywe doniesienie. Streitwieser uśmiechając się ironicznie odpowiedział:

Za dobrze was znam. Ten Polak mówi prawdę. Jeden z was zabrał mu zegarek. Nie chcecie oddać, to trochę pobiegamy. Zapiąć pod szyją marynarki!

Dzień był skwarny, słońce stało wysoko na niebie, było właśnie południe.

Po chwili Streitwieser zakomenderował:

— W prawo zwrot! Biegiem dookoła placu! Będziecie biegali tak długo, aż zegarek się znajdzie.

Na przodzie biegł obóźny Kammere, nadając stosunkowo wolne tempo. Wiedział z góry, że ten bieg potrwa kilka godzin, bo nikt z obecnych nie miał zegarka.

— Przygotujcie się chłopcy na to, że bieg potrwa do apelu — wołał do nas w czasie biegu.

Moi rodacy, Cofala i Martinowski, nie wierzyli słowom obóźnego.

— Głupstwa gada, przecież jesteśmy niewinni — rzucił biegający obok mnie Karlik.

Martinowski zaś, biegnący w następnym rzędzie, dodał:

— Nikt zresztą tego nie wytrzyma. Wszyscy się poprzewracamy. Serce nawali.

Monotonny bieg dookoła boiska trwał. Po jakimś dziesiątym czy jedenastym okrążeniu, Streitwieser zatrzymał nas.

— Jest zegarek? — zapytał.

— Nikt z nas go nie wziął. Musiał to zrobić ktoś inny — odpowiedział blokowy 13-go bloku, przezwiskiem „Hadzi".

Streitwieser jakby nie słyszał, kazał biegać dalej.

Byliśmy już bardzo zmordowani i wyczerpani. Tempo biegu coraz bardziej spadało, Streitwieser jednakże nie popędzał. Martinowski pozostał w tyle. Po jakimś dwudziestym okrążeniu, nie mógł już biegać wogóle i ledwie szedł. Streitwieser spostrzegł to i kazał mu dołączyć do grupy biegnących. Martinowski począł mu tłumaczyć, że jest chory na serce, że jest Polakiem i w życiu nikomu jeszcze nic nie ukradł. Streitwieser nic nie odpowiedział. Martinowski z trudem próbował kontynuować bieg.

— Nie bądź głupi. Idź wolno. On ci nic nie zrobi radził mu starszy pisarz obozowy Meixner, przyglądający się z boku naszym męczarniom.

Streitwieser zatrzymał bieg po raz drugi.

— No, co z zegarkiem? — zapytał.

Nikt nie odpowiedział.

— Jazda, biegiem naprzód! — brzmiał rozkaz.

Po jakimś 30-tym okrążeniu upadł blokowy 5-tego bloku, Mank. Z nosa ciekła mu krew. Jacyś więźniowie odnieśli go w cień baraku. Biegliśmy dalej. W ślady Martinowskiego poszło kilku Niemców.

Streitwieser zatrzymał nas po raz piąty, byliśmy już u kresu sił. Bieg trwał już ponad dwie godziny. Do apelu było jeszcze daleko.

Dwie godziny... — myślałem nie bez niepokoju o własny los. Byłem wprawdzie dobrym długodystansowcem, nawet nagradzanym zawodnikiem, ale w tym biegu miałem zupełnie dość i ja. Spoglądając na współtowarzyszy niedoli widziałem że wielu z nich długo jeszcze nie pociągnie. W cieniu bloku leżały już trzy ofiary biegu, którym nikt nie śmiał udzielić pomocy. Siedmiu czy ośmiu kolejno odpadło z grupy biegnących i wlokło się powoli.

Streitwieser zatrzymał nas i czekał, aż się wszyscy zebrali:

— Nie mogliście oddać zegarka odrazu? Zaoszczędzilibyście sobie tych męczarń!

Patrzeliśmy zdziwieni, oczekując dalszych wyjaśnień. Raportführer uważał widać sprawę za załatwioną: nie zwracając na nas uwagi odszedł w kierunku bramy.

Ciekawość co i jak się stało, ożywiła wszystkich. Strasznie przemęczeni ledwie trzymając się na nogach skupiliśmy się jednak dokoła pisarza obozowego Meixnera, który wyjaśniał sprawę:

Podczas biegu podszedł do Streitwiesera jeden Polak, Kazimierz Zmyśliński, z bloku 4-go, zastępca pisarza Hauga, i podał mu zegarek. Twierdził, że znalazł go w pobliżu bloku. Streitwieser nie pytał o szczegóły. Kazał przywołać poszkodowanego, a gdy ten potwierdził, że to jego zegarek, oddał mu go. Wtedy dopiero zatrzymał nas, by powiedzieć, że zegarek się znalazł.

Obożny Kammerer i wszyscy Niemcy byli bardzo wzburzeni:

— Tego łotra, z winy którego musieliśmy tak biegać, trzeba utopić! Już my go znajdziemy! Ten Polak, Zmyliński, przyciśnięty powie od kogo ów zegarek dostał — wołał obożny.

Nikt ani na chwilę nie wierzył, by Zmyliński zegarek znalazł i by sam zdobył się na odwagę podać go Streitwieserowi. Musiał mu ktoś dać zegarek i pouczyć co ma mówić.

Gremialnie zwróciliśmy się do Zmylińskiego, żądając wyjaśnień. Kazik początkowo nie miał ochoty zdradzić rabusia zegarka, gdy jednak oberwał kilka policzków i szturchańców, rozumiejąc, że zanosi się na coś gorszego, wskazał van Loosena jako sprawcę.

Kammerer i reszta rzucili się na wskazanego i pobili go strasznie.

— Dziś wieczorem wsadzimy ci wiadro na głowę! — groźnie zapowiedział obożny.

Sprawa zegarka była wyjaśniona. Van Loosen go zrabował, lecz później, widząc nasze męki, starał się zło naprawić i zegarek zwrócił przez Zmylińskiego. Ale jego ziomkowie nie chcieli uznać dobrej strony jego postępku. Pamiętali tylko, że przez niego cierpieli więc pragnęli zadośćuczynienia w wykonaniu zapowiedzianej karze śmierci.

Wieczorem, po drugim dzwonku, gdy wszystkich więźniów w obozie obowiązywał spoczynek, van Loosena wywleczono z bloku i zaciągnięto między blok 13-ty a 14-ty, gdzie zrobione były prowizoryczne umywalnie. Ściekająca woda spływała tu do dołu około dwa metry głębokiego..

Po drodze van Loosen był niemiłosiernie bity. Złamano mu dwa żebra. Przed dołem napełnionym wodą rozebrano do naga i wrzucono do wody.

— Dajcie mi wiadro — wołał Kammer a gdy je otrzymał, starał się je wsadzić na głowę van Loosena.

Woda w dole sięgała van Loosenowi tylko do piersi. Kammerer wzywał go, by się zbliżył do brzegu dołu i pozwolił sobie nasadzić na głowę wiadro od marmelady. Van Loosen płakał jak dziecko i prosił, by darowano mu życie. Tamci jednak byli głusi na jego prośby. Van Loosen skazany był na śmierć przez ogół.

Od niechybnej śmierci uratował go blokowy 13-ki „Hadżi" Grill, jeden z najgroźniejszych krwawych bandytów, cieszący się wśród Niemców dużym poważaniem. Nie brał on udziału w sądzie nad van Loosenem, ale gdy dowiedział się, że go topią, pośpieszył na miejsce, by go ratować.

Między nim a obożnym Kammererem z tego powodu wynikła sprzeczka. Kammerer domagał się stanowczo kary śmierci. Van Loosen wyzyskując ów spór wyszedł z wody i w śmiertelnym strachu pobiegł przed bramę do „Schuhhausu", wołając o ratunek.

Pełniący służbę SS-owiec zaalarmował kierownika obozu, Chmielewskiego, który wezwał do siebie obożnego.

Van Loosen skarżył się, że chcą go utopić. Kammerer udawał, że nic o tym nie wie. Na pytanie kto nastaje na jego życie, van Loosen nie wymienił nazwisk, mówił tylko ogólnikowo: blokowi. O obożnym nie wspomniał zupełnie.

Chmielewski milczał chwilę, poczem zwrócił się do obożnego i wskazując na van Loosena powiedział:

— Ten człowiek jest pod moją osobistą opieką. Żeby mu tu ani włos nie spadł z głowy. Odprowadźcie go na izbę chorych i kazać leczyć!

Van Loosenowi zaś powiedział!

— Gdy was zwolnią z izby chorych, zgłoście się do mnie.

Van Loosen dziękował Chmielewskiemu za uratowanie mu życia. poczem razem z Kammererem udali się na izbę chorych, gdzie Loosen przyjęty został ze specjalnymi względami. Rozkazy Chmielewskiego były ściśle przestrzegane. Nikt mu już krzywdy nie zrobił. Wszyscy więźniowie niemieccy zdawali sobie sprawę z tego, że po wyzwoleniu otrzyma on poważne stanowisko w samorządzie obozowym.

W czasie gdy van Loosen leżał na izbie chorych, jego wspólnik, pisarz bloku 5-go, Wochnik, w niezwykle perfidny sposób pomścił jego przygodę. Na skutek tej zemsty, Kazik Zmyśliński o włos nie przepłacił życiem rzekomej „zdrady". On to bowiem wskazał Kammererowi van Loosena. Odpokutował zato dnia 29 lipca, podczas pamiętnej dla wszystkich więźniów „nocy Nowaka".

W ową noc, gdy Chmielewski ze swoją pijaną hordą SS-manów wpadł do obozu i osobiście raczył znęcać się nad więźniami, Wochnik postanowił zemścić się na Zmylińskim: odszukał go i zawlókł przed Chmielewskiego, jako jedną z ofiar, rzuconą na zaspokojenie dzikich, zbrodniczych instynktów kierownika obozu. Chmielewskiemu było obojętne, kogo mu kładli na kozioł. Przede wszystkim dopominał się zawsze o Żydów, ale przecież żadnej z ofiar, które mu podprowadzali Kammerer, Wochnik i inni oprawcy, nie przyglądał się specjalnie. Zmyśliński otrzymał wówczas 146 batów od głowy do stóp. Przez całe dalsze pięć lat pobytu w obozie leczył się z odniesionych wówczas ran.

Van Loosen wyszedł z izby chorych pod koniec sierpnia. Zameldował się natychmiast u Chmielewskiego, który mianując go „kapem" obozowym, powiedział mniej więcej następująco:

— Uratowałem wam życie. Teraz mianuję was kapem obozu. Będziecie starali się o porządek w obozie, a przede wszystkim wyczyścicie mi obóz z tych polskich „partyzantów" (Heckenschützen). Wszyscy muszą zginąć. Tu w obozie siedzą właśnie ci, którzy wymordowali naszych rodaków (deutsche Volksgenossen) w Bydgoszczy i na Górnym Śląsku. Ci Polacy należą do wschodnich barbarzyńców, przed wymordowaniem naszych rodaków znęcali się nad nimi niemiłosiernie, stosując wobec nich azjatyckie tortury. Czytaliście w gazetach i widzieliście w tygodnikach ilustrowanych ofiary tych wschodnich dzikusów. Przybijali języki do stołów, wykłuwali oczy, oblewali gotującą smołą. Dziwię się, że nasze władze przysłały ich do obozu koncentracyjnego i że my z naszych zapasów żywnościowych mamy ich jeszcze żywić. Ja bym ich wszystkich kazał poprostu wystrzelać. Tylko, że wtedy podniósł by się krzyk: nazwano by nas mordercami. Polecono mi, bym obchodził się z nimi delikatnie, przez rękawczki... Ale wy musicie im dać szkołę. Muszą zrozumieć co to jest obóz. Za zbrodnie, jakie popełnili muszą ponieść zasłużoną karę. Bądźcie ostrożni wobec nich, pilnujcie się zwłaszcza w nocy, by z wami tak samo nie zrobili, jak z naszymi ziomkami w Bydgoszczy i z Górnego Śląska. Codziennie musicie kilku z nich wykończyć (Przy tych słowach Chmielewski, zwyczajem SS-manów, kciukiem prawej ręki wskazał na ziemię. Był to znak: zabić) Pójdą „gryźć trawę" (ins Gras beissen). Mam nadzieję, że spełnicie swoje zadanie.

Słowa Chmielewskiego powtórzył mi van Loosen w kilka dni po ich rozmowie. Van Loosen zapewnił swego wybawcę, że wykona jego rozkazy. Był zresztą przekonany, że Chmielewski mówił prawdę, że Polacy, przebywający w Gusen to mordercy „owych 62.000 niemców", o których rozpisywały się gazety niemieckie. Wierzył również, że my Polacy znęcaliśmy się nad

jeńcami niemieckimi, wykłuwaliśmy im oczy, żywcem grzebaliśmy itd.

Miałem z nim pewnego razu znamienną rozmowę. Przyszedł do mnie w towarzystwie młodego „blockführera". W czasie pogawędki, zeszliśmy na temat dobrego i złego człowieka.

Dowodziłem, że nie ma zdecydowanie złych ludzi. Ludzie z wrodzonych właściwości są dobrzy, tylko czasem wychowanie i otoczenie budzi w nich złe instynkty.

Nie zgadzali się ze mną. Dowodzili, że na przykład wszyscy Polacy rodzą się źli, z wrodzoną żądzą mordu. Męczą i mordują dla własnej przyjemności. Van Loosen powtórzył mi wówczas zdanie, jakie wpoił w niego kierownik obozu Chmielewski:

— Wiem, że nie jestem dobrym człowiekiem. Zabijałem, zabijam i zabijać muszę obcych mi ludzi, którzy mnie osobiście nic złego nie zrobili. Ale nie znęcam się nad nimi, tak jak wyście to robili w Bydgoszczy. Nikomu ócz nie wykłułem, języka do stołu nie przybiłem, żywcem nie zakopałem. Mój sposób zabijania ludzi jest humanitarny. Nikt się nie męczy. Wrzucam „muzułmana" do wody i za chwilę jest gotów. Najwięcej męczy się dwie lub trzy minuty...

Starałem się przekonać van Loosena, że mówi głupstwa, że jest naiwną ofiarą antypolskiej propagandy. Gdy tłumaczyłem mu, że jego historia z wykłuwaniem oczu, przybijaniem języków itp. jest zmyślona naraz do rozmowy wtrącił się SS-owiec. Oświadczył stanowczo, że na własne oczy widział pomordowanych, że niemal każdy SS-owiec miał krewnych lub znajomych wśród tragicznych ofiar bydgoskiej krwawej niedzieli. Oczywiście kłamał jak z nut, cóż kiedy nie mogłem mu powiedzieć. Ostrożność nakazywała milczeć.

Z van Loosenem, największym mordercą „Gusen, żyłem w „przyjaźni". Niemal codziennie rozgrywałem z nim partię szachów, często umyślnie przegrywałem do niego, by nie zniechęcił się do gry. Moi współtowarzysze niedoli patrzyli na moją „przyjaźń" ze zdziwieniem, niektórzy z nich nawet obrazili się na mnie za to, że dopuszczałem van Loosena do turniejów szachowych i umożliwiałem mu branie udziału w meczach piłki nożnej.

Natomiast niezwykle wdzięczni byli mi wszyscy ci, którzy pracowali w komendzie van Loosena, w tak zwanym „Lagerkommando". Wykorzystywali to bowiem w odpowiednim momencie dla ratowania więźniów.

Zgodnie z otrzymanem rozkazem mordowania ludzi, van Loosen wyszukiwał codziennie ofiary, które mordował.

Po apelu jego pracownicy stali w szeregach i oczekiwali rozkazów. Van Loosen dzielił ich na grupki i wysyłał do wykonania rozmaitych robót: czyszczenia placu i ulic, robienia trawników, usuwania śmieci itp. W roku 1940 trzeba było jeszcze budować ulice, kopać doły, wywozić ziemię, przynosić kamienie itp. Kapo obozowy dozorował wszystkich.

Van Loosen był gorliwym dozorcą, poganiał podwładnych mu więźniów do ostatniego ich tchu. Gdy już jakiś więzień z wyczerpania padł, wówczas zajmował się nim specjalnie i „wykańczał" go. Zaczynał tłuc niemiłosiernie takiego nieszczęśnika, aż tamten w nadludzkim wysiłku wstał z ziemi, dźwigał ciężkie kamienie, biegł z nimi chociaż krew ciekła mu z nosa i ust. Wreszcie więzień padał po raz ostatni na ziemię, by już więcej nie powstać. Gdy jeszcze dawał znaki życia, van Loosen, zawsze uzbrojony w grubą pałkę dobijał go poprostu.

Niektórzy jego podkomendni zjednywali go sobie papierosami, pieniędzmi, porcjami kiełbasy, które otrzymywali na kolację, i innymi rzeczmi. Tych oczywiście van Loosen nie zaczepiał.

Ludzie z grupy van Loosena wiedzieli o mojej „przyjaźni" z mordercą. Czasem, gdy van Loosen zabierał się do wykończenia jakiejś nowej ofiary, przybiegali do mnie po ratunek.

Udało mi się też niejednego od strasziej uratować śmierci. Czasem sama moja obecność hamowała zapędy zbrodniarza... Wstydził się przedemną, że... morduje. Ale bardzo często nic poradzić nie mogłem. Nieraz zbrodniarz był w takim humorze, że chciał, popisać się przede mną, co potrafi. Trzeba było wtedy używać forteli by go od ofiary oderwać. Zdarzało się często, że cały mój spryt nic nie pomagał: van Loosen nie chciał puścić swej ofiary. Nie dał się znęcić grą w szachy, nie dał się kupić za papierosy albo tytoń. Byłem bezsilny, przyglądałem się więźniom, dręczonym na śmierć.

„Wykańczanie"

Dnia 1 listopada 1940 roku, van Loosen zamordował lekarza wiedeńskiego, dr. Georga Resta. Na śmierć jego patrzyłem bezradny.

Dr. Rest był na bloku 15-tym w izbie B. Obserwował on, jak blokowy Pürschmann niesprawiedliwie wydzielał porcje o-

biadowe. Wspomniał o tym w gronie współtowarzyszy. Ktoś doniósł o tem blokowemu. Ten wpadł w furię: zbił niemiłosiernie dr. Resta i kilku innych więźniów, biorących udział w rozmowie z nim. Odgrażał się, że wszyscy „mekkererzy" (malkontenci) muszą umrzeć.

Dr. Rest, który pracował przy noszeniu kamieni, popołudniu nie poszedł do pracy, Pürschmann nie pozwolił. Następnie sprowadził van Loosena, polecając mu „wykończyć" doktora.

Van Loosen zabrał się do wykonania wyroku śmierci: grubą pałką począł niemiłosiernie bić dr. Resta. Ten zasłaniał się rękami i uciekał... Przywoływany, jak pies posłusznie wracał pod następne razy..

Jakiś więzień zawiadomił mnie, że na bloku 15-tym van Loosen morduje człowieka. Pośpieszyłem na miejsce, wszedłem na blok jakby przypadkiem, szukając pisarza tego bloku.

Van Loosen przestał bić ofiarę, ale nie dlatego, że mnie zobaczył, lecz ze zmęczenia. zagroził doktorowi, by nie odważył się oddalić z bloku i udał się ze mną do „kapufu" na odpoczynek.

Próbowałem namówić go na grę w szachy.

— Przyjdę za godzinę, jak tamtego „wykończę" — odpowiedział.

— Po co ty idziesz go „wykańczać"? I tak nas wszystkich djabli wezmą. Sam zginie, nie potrzebujesz się z nim mordować — tłumaczyłem obojętnym tonem, jakby los Resta wcale mnie nie obchodził.

— Tego muszę wykończyć. To Austryjak, niebezpieczny typ! Chce nas wszystkich wsypać. Odgrażał się Pürschmanowi, że go zadenuncjuje przed Chmielewskim za rzekome niesprawiedliwe rozdzielanie obiadów — usprawiedliwiał się van Loosen.

Szukałem słów, by odwieźć van Loosena od zamiaru zamordowania człowieka, kiedy nadeszli: blokowy Pürschmann i pisarz Kletecka.

Rozmawialiśmy o sprawie Resta. Z tonu słów inicjatorów mordu, Pürschmanna i Kletetzki, wywnioskowałem, że wszelkie starania uratowania dr. Resta, będą daremne. Musiałem myśleć o przyszłości: nie wolno mi stracić wpływu na morderców, jaki niewątpliwie miałem. Życie dr. Resta musiałem pozostawić jego własnemu losowi.

Rozmawialiśmy jeszcze o rzeczach obojętnych. Van Loosen, naglony przez swoich kompanów, ruszył wreszcie na izbę.